

LAFCADIO HEARN

JAPONJA

Przekład B. BIELECKIEJ

pod redakcją ANTONIEGO LANGE



WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11, Konto P. K. O. 11.112

WARUNKI PRENUMERATY:

*Łącznie z dodatkami dla młodzieży lub
magazynem nHP, przy każdej książce,
przesyłką pocztową:*

kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95,

miesięcznie " 3 " 35,

„ w oprawach " 15 " 95.

*Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzę-
dy pocztowe.*

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Znak 95 groszowego Wydawnictwa prawnie zareje-
strowany i naśladownictwa będą sądownie ścigane.

WSTĘP

Laſcadio Hearn, znany w Japonji pod nazwiskiem Jakumo Koizumi, urodził się w Leukadji na wyspach Jońskich 27 czerwca 1850 roku. Ojciec jego był Irlandczykiem i zajmował stanowisko lekarza w armji angielskiej; matka była Greczynką. Hearn stracił rodziców w dzieciństwie; wychowywała go ciotka ojca. Kształcono go na duchownego, czemu zawdzięczał dobrą znajomość łaciny oraz zamiłowanie do subtelnych rozważań religijnych i etycznych. Hearn, obdarzony żywym temperamentem i umysłem badawczym, nie czuł jednak skłonności do stanu duchownego, i mając lat dziewiętnaście, wyruszył w świat szukać szczęścia w Ameryce. Początkowo pracował, jako korektor, w drukarni, następnie został reporterem gazety w Cincinnati. Po upływie krótkiego czasu stał się jednym z redaktorów pisma „Times Democrat” w Nowym Orleanie. W mieście tem mieszkał do 1887 roku, pisując w swoim dzienniku rozmaite fantazje i arabeski oraz drukując w innych czasopismach artykuły i szkice. W tym też czasie napisał kilka ciekawych książek, między innemi „Kartki ulotne z literatur obcych”, i tłumaczył Teofila Gautier. W zimie 1887 roku rozpoczął swoje wycieczki do krajów egzotycznych. Po kilku latach, które spędził przeważnie w Indo-Chinach, wracając czasami do New Yor-

ku, Hearn w 1890 roku udał się do Japonii, by pozyskać materiał do serii artykułów o tym kraju dla gazet amerykańskich. Tam, dzięki jakiemuś głębokiemu pokrewieństwu duchowemu z narodem japońskim, Hearn poczuł się nagle, jak u siebie w domu. Ożenił się z Japonką, przyjął obywatelstwo japońskie, pracował, jako profesor języka angielskiego w uniwersytecie cesarskim w Tokio, i napisał o Japonii kilka bardzo ciekawych książek. Umarł wskutek aneurysmu serca 26 września 1904 roku.

Twórczość Lafcadio Hearna odegrała wybitną rolę w zaznajomieniu szerokiego ogółu inteligencji Anglii i Stanów Zjednoczonych z Japonją, jej obyczajami i wierzeniami. Utwory jego zachęcały do głębszego poznania tej kultury, tak zasadniczo różnej od kultury naszej rasy, a posiadającej tyle wysokich walorów.

W nadziei, że twórczość Lafcadio Hearna wzbudzi i u nas to zainteresowanie, które budziła na szerokim świecie, redakcja „Biblioteki Groszowej” podaje w tłumaczeniu szereg krótkich opowiadań, które stopniowo ukazują czytelnikowi krajobraz Japonji, psychikę narodu, jego obyczaje, naiwne wierzenia ludu i wyższe koncepcje religijne budyzmu.

SEN DNIA LETNIEGO

Hotel wydał mi się rajem, a dziewczęta usługujące sprawiały wrażenie istot nadziemskich. Wszystko to z tej przyczyny, że właśnie tylko co uciekłem z jednego z portów otwartych, gdzie mieszkałem w hotelu europejskim, zaopatrzonym we wszelkie „modern improvements*). Przystroiwszy się w wygodne *jukata**)*, siedząc na chłodnych, miękkich matach, korzystając z usług dziewcząt o słodkim głosie i widząc naokoło tyle pięknych rzeczy, zapomniałem o wszystkich udręczeniach dziewiętnastego wieku. Na śniadanie dano mi młode pędy bambusowe i cebulki lotosu, a nadto otrzymałem wachlarz, jako upominek. Rysunek na tym wachlarzu wyobrażał jedynie białą falę, co się gwałtownie rozbija o brzeg, a ponad falą—ptaki morskie, przecinające błękit w radosnym locie. Mimo swą prostotę, malowidło to wynagradzało sownie trudy podróży. Był w niem jednocześnie blask światła, błysk ruchu i poszum wiatru morskiego. Patrząc na ten wachlarz, chciałeś wprost krzyczeć.

Pomiędzy cedrowemi słupami balkonu mogłem

*) Najnowsze urządzenia.

**) *Jukata* — letnie kimono z szerokimi rękawami; hotele japońskie zaopatrują w nie wszystkich swych klientów-mężczyzn.

widzieć zarysy ładnego, szarego miasteczka, ciągnącego się wzdłuż wybrzeża; żółte, leniwe dżonki, drzemiące na swych kotwicach, wylot zatoki na morze między dwiema olbrzymiemi, zielonemi skałami, za tem wszystkim — blask lata na całej przestrzeni widnokręgu. Na horyzoncie majaczyły kształty gór, tak nieuchwytne, jak wspomnienia o rzeczach dawnych. Wszystko — z wyjątkiem szarego miasteczka, żółtych dżonek i zielonych skał — było błękitne.

Naraz jakiś głos, brzmiący tak łagodnie, jak dzwonek, poruszany przez wiatr, zaczął wydzwaniać słowa, pełne grzeczności, i przerwał moje marzenia. Spostrzegłem, że pani tego pałacu przyszła, by mi podziękować za *czaidai**), i skłoniłem się przed nią w niskim ukłonie. Pani była bardzo młoda, i patrzeć na nią było więcej, niż przyjemnie — była ona jak kobieta-motyl z obrazów Kunisady. Więc odrazu pomyślałem o śmierci — bo w pięknie jest czasami smutek przeczucia.

Spytała mnie, dokąd mam zamiar jechać, gdyż chce dla mnie sprowadzić *kurumę***). Odpowiedziałem jej na to:

— Do Kumamoto. Lecz chciałbym bardzo wiedzieć, jak się nazywa ten dom, żebym mógł zawsze pamiętać o nim.

— Moja gospoda — odrzekła — jest niegodna uwagi, a moje służące są bardzo nieokrzesane. Powiem jednak: dom nazywa się „Dom Uraszimy”. A teraz idę sprowadzić *kurumę*.

Muzyka jej głosu umilkła, ja zaś uczułem, jak

*) *Czaidai* — mały datek pieniężny, który daje gość w hotelu zaraz po przybyciu.

**) *Kuruma* — dwukółowy wózek, rodzaj dorożki, który ciągnie człowiek, zwany *kurumaja*.

mnie opanowuje czar, który spadł na mnie, niby niewidzialna tkanina. Bo nazwa ta była nazwą bajki, która zachwyca dusze ludzkie.

II

Jeżeli raz usłyszycie tę opowieść, nigdy nie będziecie w stanie jej zapomnieć. Co lato, gdy przebywam nad brzegiem morza, szczególnie w łagodne, ciche dnie, przypominam ją sobie bardzo żywo. Bajka ta ma wiele odmian, z których każda pobudziła natchnienie do niezliczonych utworów artystycznych. Lecz najstarszą z tych odmian i sprawiającą największe wrażenie jest ta, którą można znaleźć w „Manjefuszifu”—zbiorze dzieł poetyckich, który zawiera pieśni od piątego do dziewiątego wieku. Starożytne to podanie wielki uczony Aston przetłumaczył na prozę, a wielki uczony Chamberlain zarówno na prozę, jak na wiersz. Zdaje mi się, że czytelnika angielskiego najbardziej może zachwycić przeróbka Chamberlaina, podana w książce dla dzieci „Japanese Fairy-Tale Series”, ponieważ są tam prześliczne obrazki kolorowe, wykonane przez artystów japońskich. Opierając się na tej małej książeczce, postaram się opowiedzieć legendę swojemi słowy.

Tysiąc czterysta szesnaście lat temu młody rybak Uraszima Taro odpłynął czołnem od wybrzeża w Suminoje.

Dni letnie owemi czasy, podobnie jak teraz, były senne i łagodnie błękitne; tylko lekkie, czyste, białe chmury unosiły się nad zwierciadłem morza. Wzgórza wtedy też były takie same: ukazywały się jako dalekie, miękkie kształty, rozplywające się w błękitnem niebie. Wiatry zaś były senne.

I chłopak, również senny, łowił ryby i nie ba-
czył, iż łódka unosi go z ruchem fali. Łódka jego
była dziwna, niemalowana i pozbawiona steru,
a kształt miała taki, jakiego zapewne nigdy nie wi-
dzieliście. Ale i dzisiaj, po upływie tysiąca czte-
rechset lat, można jeszcze zobaczyć takie łódki
u starych szalasów rybackich na brzegach morza
Japońskiego.

Długo czekał Uraszima, aż wreszcie złapał coś
i wyciągnął to coś z wody. Lecz okazało się, że to
był tylko żółw.

Żółw jest poświęcony smokowi morza, i okres
jego życia wynosi tysiąc, a jak niektórzy mówią,
dziesięć tysięcy lat. Więc zabicie żółwia jest uwa-
żane za czyn, godny potępienia. Chłopak odczepił
delikatnie stworzenie od swej wędk i puścił je na wol-
ność, odmawiając jednocześnie modlitwę do bo-
gów.

Lecz nie złowił nic więcej. Dzień był bardzo
gorący — morze, i powietrze, i wszystko naokoło było
bardzo, bardzo spokojne. Opanowała go wielka sen-
ność, i usnął w swem czółnie, które fale morza uno-
siły.

Naraz z sennego morza wypłynęła piękna dziew-
czyna — taka, jaką zobaczysz na obrazku do opo-
wiadania profesora Chamberlaina „Uraszima” —
ubrana w purpurę i błękit, z długimi, czarnymi wło-
sami, spływającymi po plecach aż do stóp prawie,
zupełnie na wzór księżniczki z przed tysiąca czte-
rechset lat.

Przyszła, sunąc po falach, miękko, jak podmuch
wiatru. Stała nad śpiącym w łódce chłopcem, zbu-
dziła go lekkim dotknięciem i rzekła:

— Nie dziw się. Mój ojciec Smok — Król Mo-
rza, przysłał mnie do ciebie, ponieważ masz dobre
serce — dziś bowiem puściłeś na wolność żółwia.

A teraz pójdziemy do pałacu mojego ojca na wyspę, na której lato nigdy nie umiera, i ja będę twoją „żoną-kwiatem”, jeżeli zechcesz, i tam będziemy zawsze żyli szczęśliwi.

Uraszima, patrząc na nią, dziwił się coraz bardziej, ponieważ była ona piękniejsza od jakiejkolwiek istoty ludzkiej, i czuł, że nie może jej nie kochać. Poczem dziewczyna wzięła jedno wiosło, on wziął drugie i popłynęli razem, jak to widzicie na obrazku, hen! daleko, koło zachodniego wybrzeża; żona i mąż wiosłują razem, a łodzie rybackie migocą w pozłocie wieczornej.

Płynęli cicho i prędko po spokojnej toni błękitnej, wciąż na południe, aż wreszcie przybyli na wyspę, na której lato nigdy nie umiera, do pałacu Smoka—Króla Morza.

W tem miejscu tekst w małej książeczce nagle się urywa i błękitne fale zalewają stronicę; a za niemi na świetlanym, bajecznym horyzoncie możecie dostrzec długi, niski, łagodny brzeg wyspy i spiczaste dachy, przeświecające pośród wiecznie zielonych drzew—dachy pałacu Boga Morza, podobne do dachów pałacu mikada Juriaku z przed tysiąca czterechset lat.

Osobliwa służba w szatach uroczystych wysnuła się na ich spotkanie—były to istoty morskie, które witały Uraszima, jako zięcia Króla Smoka.

Córka Boga Morza stała się żoną Uraszimy; wesele było nadzwyczaj wspaniałe, i w komnatach Smoka panowała wielka radość.

Każdy dzień był dla Uraszimy pełny nowych dziwów i przyjemności: cuda z największych głębin przynosiła służba Boga Oceanu; przyjemności dostarczał kraj czarowny, w którym lato nigdy nie umiera. Tak minęły trzy lata.

Lecz mimo te wszystkie rozkosze młody rybak wciąż odczuwał smutek w sercu na myśl o swych osamotnionych rodzicach, którzy czekali na niego. Ostatecznie więc poprosił swoją żonę, by mu pozwoliła udać się do domu, choć na krótko, gdyż chciałby zobaczyć się z ojcem i matką — poczem pośpieszy z powrotem do niej.

Na te słowa żona zaczęła płakać i płakała cicho przez długą chwilę. Poczem rzekła:— „Skoro chcesz iść, to oczywiście, musisz iść. Bardzo się boję twego odjazdu; boję się, że już się nigdy więcej nie zobaczymy. Ale dam ci małe pudełko, które weź ze sobą. Pomoże ci ono wrócić do mnie, jeżeli zrobisz to, co ci powiem. Nie otwieraj go. Niezależnie od tego, co się może zdarzyć — nie otwieraj go! Bo jeżeli je otworzysz — nigdy nie będziesz mógł wrócić i nigdy już mnie nie zobaczysz.”

I dała mu małe pudełko z laki, związane sznurkiem jedwabnym. (Pudełko to jeszcze dzisiaj można widzieć w świątyni Kanagawa, która stoi na brzegu morza; kapłani przechowują tam również wędkę Uraszima Taro i kilka szczególnych drogich kamieni, które Uraszima przyniósł z państwa Króla Smoka.)

Lecz Uraszima uspokoił żonę i przyrzekł jej, że nigdy, nigdy nie otworzy pudełka — nigdy nawet nie odwiąże sznurka. I oto przetoczył się skroś promiennosc lata nad wiecznie śpiącym morzem, — i wyspa, na której lato nigdy nie umiera, znikła za nim, jak sen. Znowu ujrzał przed sobą błękitne góry Japonji, zarysowujące się ostro w białym blasku widnokręgu północy.

Znowu nakoniec dotarł do swej rodzinnej zatoki, znowu stanął na jej wybrzeżu. Lecz gdy spoj-

rzął wokóło, uczuł wielkie zdumienie i dziwną wątpliwość.

Miejscowość była jednocześnie ta sama i nie ta sama. Chata jego ojców znikła. Wioska pozostała, lecz sylwetki wszystkich domów były osobliwe, i drzewa były dziwne, i pola, i nawet twarze ludzkie. Prawie wszystkie oznaki, które pamiętał, zginęły; świątynia Szinto stała na innym miejscu, znikły lasy na sąsiednich wzgórzach. Tylko głos małego strumyka, przepływającego przez wioskę, i kształty gór pozostały niezmienione. Wszystko inne było nowe i obce. Napróżno starał się odnaleźć dom swych rodziców; ludność rybacka spoglądała na niego zdumiona. Uraszima zaś nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek przedtem widział był te twarze.

Tymczasem, opierając się na kij, zbliżył się jakiś bardzo stary człowiek, więc Uraszima jął go pytać o drogę do domu rodziny Uraszima. Staruszek jednak zdawał się być bardzo zdziwiony i kazał sobie powtórzyć pytanie kilka razy, wkońcu rzecze:

— Uraszima Taro! Skądże ty przybywasz, jeżeli nie znasz tej historii? Uraszima Taro! Przecież upłynęło już przeszło czterysta lat od czasu, gdy on utonął, i na cmentarzu dotąd stoi pomnik na cześć jego pamięci. Groby całej jego rodziny również są na tym cmentarzu — na starym cmentarzu, gdzie teraz już nikogo nie chowają. Uraszima Taro! Jak możesz być tak głupi, żeby pytać o jego dom? — I staruszek odszedł, kulejąc i śmiejąc się z głupoty obcego człowieka.

Uraszima więc poszedł na cmentarz wioskowy, — na stary cmentarz, na którym teraz nikogo już nie chowają, — i tam znalazł swój własny nagrobek i nagrobki swego ojca, i swej matki, i wszyst-

kich swych krewnych, i nagrobki różnych innych ludzi, których kiedyś znał. Kamienie na tych nagrobkach były tak stare i zmurszałe, że trudno już było odczytać na nich imiona.

Uraszima zrozumiał teraz, że stał się ofiarą jakiegoś szczególnego złudzenia, i poszedł zpowrotem na wybrzeże, wciąż trzymając w ręku pudełko—dar córki Boga Morza. Lecz czemu było to złudzenie? I co mogło być w pudełku? I czy zawartość tego pudełka nie była przyczyną ułudy? Wątpliwość przewyciężyła w nim wierność. Niebacznie złamał przyrzeczenie, dane swej ukochanej, odwiązał jedwabny sznurek, otworzył pudełko.

W tej chwili, bez żadnego dźwięku, z pudełka wyłonił się zimny opar, który uleciał w powietrze, jak chmura letnia, i zaczął przedko spływać na południe, unosząc się nad spokojnem morzem. W pudełku nie było nic więcej.

I Uraszima zrozumiał wówczas, że zepsuł swoje własne szczęście i że nigdy już więcej nie będzie mógł wrócić do swej ukochanej, do córki Króla Oceanu. Więc płakał gorzko i krzyczał z rozpacz.

Ale tylko przez chwilę. Bo zaraz sam zaczął się zmieniać. Lodowaty chłód zmroził mu krew w żyłach, zęby mu wypadły, twarz się pomarszczyła, włosy stały się białe, jak śnieg, ciało wyschło, siły go opuściły. Osunął się na piasek — martwy, zgnieciony ciężarem czterechset zim.

W urzędowych rocznikach Cesarzów jest napisane, że „w dwudziestym pierwszym roku panowania Mikada Juriaku, chłopak, imieniem Uraszima, z Midzunoje, powiatu Jasa, prowincji Tańgo, potomek bóstwa Szimanemi, wypłynął łódką rybacką do Elizeum (Horai)". Po tej uwadze niema żadnej wzmianki o Uraszima przez czas panowania trzydziestu jednego cesarza i cesarzowych — to zna-

czy: od piątego do dziewiątego stulecia. Poczem roczniki oznajmniają, że „w drugim roku Tenczijo, za panowania Mikada Go-Dżunwa chłopak Uraszima wrócił i zaraz znowu odjechał, niewiadomo dokąd“*).

III

Czarująca gospodyni wróciła, oświadczając mi, że wszystko już gotowe, i próbowała podnieść moją walizkę swemi szczupłemi rączkami. Zaprotestowałem przeciwko temu, bo walizka była ciężka. Zaśmiała się, lecz nie chciała przystać na to, że-
bym ja miał nieść walizkę sam, i przywołała jakiegoś morskiego wilczka, który miał znaki chińskie na plecach. Usłuchałem gospodyni, ona zaś prosiła mię, żebym pamiętał o jej niegodnym uwagi domu, chociaż służące są tak nieokrzeseane.—„Zapłaci pan kurumaji—dodała—tylko siedemdziesiąt pięć sen“**).

Wsiadłem do wózka i po kilku minutach małe, szare miasteczko znikło za zakrętem. Jechałem po białej drodze brzegiem morza. Na prawo były bladobrunatne skały; na lewo — tylko bezmiar i morze.

Mila po mili jechałem wzdłuż wybrzeża, patrząc w nieskończoną jasność. Wszystko było pograżone w błękicie,—tak cudnym błękicie, jak ten, który faluje we wnętrzu dużej konchy. Iskrzące, błękitne morze stykało się z wklęsłym, błękitnym niebem, a wielkie, błękitne zjawy — góry Higo — świeciły w tym blasku, jak ametysty. Co za błękitna przezroczystość! Tę ogólną barwę przery-

*) Zgodnie z chronologją Zachodu, Uraszima wyjechał w r. 1771 po Narodzeniu Chrystusa i wrócił w 1825.

**) Sena — $\frac{1}{100}$ jeny, ta ostatnia zaś równa się pięćdziesięciu centom amerykańskim.

wały tylko nieliczne, oślepiającobiałe obłoki letnie, leżące nieruchomo na szczycie górskim, majaczącym w otwartym morzu. Chmurki te rzucały na wodę śnieżne, drżące światła. Dymy z lokrętów, pełznące woddali, zdawały się ciągnąć za sobą długie nici — były to jedyne ostre linie w tem całym mgławem rozświetleniu. Ależ co za boskie chmury! — Białe, oczyszczone duchy chmur, spoczywające po drodze ku błogościom nirwany... A może to była mgła, co uciekła z pudełka Uraszimy przed tysiącem lat? Dusza moja, jak komar, pofrunęła w błękitny, senny przestwór między morzem i słońcem, zpowrotem na wybrzeże Suminoje, przez promieniste zjawy tysiąca czterechset lat. Miałem wrażenie jakobyśm czuł pod sobą unoszące się czółno. Była epoka mikada Juriaku. A córka Króla Smoka rzekła głosem dźwięcznym: — „Teraz pójdziemy do pałacu mego ojca, do tego pałacu, w którym jest zawsze błękitnie.” — „Dlaczego jest zawsze błękitnie?” — spytałem. — „Ponieważ — odrzekła — ukrywam w pudełku wszystkie chmury”. — „Ale ja muszę iść do domu” — odpowiedziałem stanowczo. — „W takim razie zapłacisz kurumaji tylko siedemdziesiąt pięć sen.”

Obudziłem się w Dojo — czyli w okresie największego gorąca — dwudziestego szóstego Meidzi, jak o tem dobitnie świadczył szereg słupów telegraficznych, stojących koło drogi od strony lądu. Kuruma wciąż toczyła się wzdłuż brzegu morskiego. Niebo, szczyt górski i morze były takie same, ale białe chmury znikły. Koło drogi zaś nie widziałeś już skał, tylko pola ryżowe i jęczmienne, ciągnące się hen! aż do dalekich wzgórz. Linja telegraficzna zajęła przez krótką chwilę moją uwagę, bo na najwyższym drucie — i tylko na najwyższym — siedziały gromady małych ptaszków. Wszystkie

miały główki, zwrócone w stronę drogi, i nie bały się zupełnie naszego zbliżenia. Siedziały wcale spokojnie, spoglądając wdół na nas, jak na zwykłe zjawisko przejściowe. Były ich setki setek w szeregu, który się ciągnął całe mile. Nie widziałem ani jednego, który siedziałby zwrócony ogonkiem do drogi. Czemu siedziały w ten sposób, na co patrzyły lub czego oczekiwały,—nie byłem w stanie odgadnąć. Od czasu do czasu machałem kapeluszem i krzyczałem, chcąc je przestraszyć. Niektóre zrywały się, trzepocząc skrzydełkami, poczem siadały znowu na drut w pozycji pierwotnej. Znaczna większość zdawała się nie brać mojej osoby na serjo.

Ostry turkot kół mojej kurumy zagłuchł w potężnym huku; gdy mknęliśmy przez wioskę, spostrzegłem pod otwartym szalasem olbrzymi bęben, w który uderzali jacyś nadzy ludzie.

— O kurumaja! — zawołałem — to... co to jest?

Kurumaja, nie zatrzymując, krzyknął:

— Wszędzie teraz jest to samo. Już dawno nie było deszczu, więc ludzie modlą się do Bogów i biją w bęben.

Przejeżdżaliśmy przez niejedną wioskę; widziałem i słyszałem więcej bębnów rozmaitej wielkości, a z niewidocznych szalasów—gdzieś na wysuszonych polach ryżowych—odpowiadało im echo innych bębnów.

IV

Znowu zacząłem myśleć o Uraszima. Myślałem o obrazach, poematach i przysłowiach, stwierdzających wpływ tej legendy na wyobraźnię ludu. Myślałem o tancerce z Izumo, która w czasie ban-

kietu grała rolę Uraszimy. W tragicznej chwili z pudełka wyłoniła się mgła kadzidla. Myślałem o starożytności tego pięknego tańca, a więc i o minionych pokoleniach tancerek, a więc i o pyle znikomości, co znowu naprowadziło mnie na myśli o pyle konkretnym, unoszącym się z pod sandałów mego kurumaji, któremu miałem zapłacić tylko siedemdziesiąt pięć sen.

I zadawałem sobie pytanie, ile może być w tym pyle starego pyłu ludzkiego, i czy w wiecznym porządku rzeczy ruch serc ma większe znaczenie, niżli ruch pyłu. Wówczas zaniepokoiła się moralność, przekazana mi przez przodków, starałem się przekonać siebie, że bajka, która przeżyła tysiąc lat, w każdym stuleciu nabierając coraz to nowego czarunku, mogła przeżyć tylko dzięki temu, że była w niej jakaś prawda. Lecz jaka prawda? Narazie nie mogłem znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Upał stał się nie do wytrzymania, więc zawolałam:

— O kurumaja! Gardło Egoisty jest suche: pogażana jest woda.

Kurumaja, biegnąc wciąż, odpowiedział:

— W wiosce „Długie Wybrzeże“, niedaleko stąd, jest wielki wodotrysk. Tam będzie czysta, święta woda.

Po chwili zawolałem znowu:

— O, kurumaja! te małe ptaszki, czemu patrzą zawsze w jedną stronę?

Kurumaja, biegnąc jeszcze prędzej, krzyknął:

— Wszystkie ptaki siedzą dziobem do wiatru!

Zaśmiałem się najpierw z mej własnej naiwności, a następnie — ze swego braku pamięci, bo przypomniałem sobie, że mówiono mi o tem kiedyś, gdy byłem małym chłopcem. Może być, że tajemnica Uraszimy też powstała wskutek braku pamięci.

Znowu myślałem o Uraszimie. Widziałem córkę Króla Smoka, która napróżno czeka w pałacu, przyozdobionym na przyjęcie małżonka; widziałem Nielitościwy powrót chmury, która oznajmiła, co się stało; widziałem, jak kochające dziwne stworzy morskie w strojach uroczystych starały się ją pocieszyć. Ale naprawdę w bajce nie było tego wszystkiego. Całe współczucie ludzkie było po stronie Uraszimy. Zacząłem rozmawiać sam ze sobą w ten sposób:

...Czy wogóle sprawiedliwie jest żałować Uraszimy? Oczywiście, Uraszima był oczarowany przez bogów. Lecz kto nie jest oczarowany przez bogów? I czy samo życie nie jest oczarowaniem? Uraszima pod wpływem nowych czarów zwątpił o celu Bogów i otworzył pudełko. A wówczas umarł bez żadnego cierpienia, i ludzie wybudowali mu świątynię, jako Uraszima-Mio-dzin. Więc pocóż ta cała litość?

Na Zachodzie sprawy prowadzone są inaczej. Za nieposłuszeństwo względem Bogów Zachodu musimy żyć i poznać wysokość, szerokość i głębokość największego smutku. Nie mamy tej swobody, by umrzeć całkiem wygodnie i w najlepszym dla nas czasie; tem bardziej zaś nie możemy po śmierci osiągnąć stanu małych bogów. W jaki więc sposób możemy litować się nad szaleństwem Uraszimy, który przez tak długi czas obcował sam na sam z gronem bogów widomych?

Być może, że sam fakt istnienia tej litości jest odpowiedzią na zagadkę. Jest to, widocznie, nasza litość nad sobą samym, z czego wynika, że legenda jest legendą dziesiątka tysięcy dusz. Myśl o niej przychodzi najczęściej wtedy, gdy światło jest błękitne, a wiatr łagodny, — przychodzi zawsze, jako stary wyrzut. Jest ona zbyt ściśle związana z po-

ra roku, a poczucie pory roku nie da się związać z czemś zupełnie ścisłym i określonym w życiu jednostki lub nawet w życiu jej przodków. *) Ale czem to coś rzeczywiste było w bajce? Kim była córka Króla Smoczego? Gdzie była wyspa, na której lato nigdy nie umierało? I czem była chmura w pułku?

Nie mogę odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Wiem tylko jedno, ale to nie jest nic nowego.

Żyje we mnie wspomnienie jakiejś krainy mitycznej i nadziemskiego czasu, kiedy słońce i księżyc były większe i jaśniejsze, niż teraz. Czy było to w tem życiu, czy może w poprzednim, — nie umiem tego powiedzieć. Lecz wiem, że niebo było znacznie lazurowsze i znacznie bliższe ziemi tak, jak je czasem widzimy z parowca w letni dzień podzwrotnikowy, kiedy to się zdaje, że jest ono tuż nad samymi masztami. Morze było żywe i rozmawiało, a dotknięcie wiatru wywoływało we mnie chęć krzyku z radości. Później, w boskim czasie, spędzonym wśród szczytów górskich, zdawało mi się raz albo może dwa i przez krótką chwilę, że czuję podmuch takiego samego wiatru, — ale to było tylko wspomnienie.

W tym kraju chmury były śliczne i takiego koloru, że w żaden sposób niepodobna go wyrazić słowami. Kolor ten wywoływał we mnie zwykle uczucie głodu i pragnienia. Przypominam sobie również, że dni były znacznie dłuższe, niż obecnie, i że każdy z nich zawierał dla mnie nowe

*) Autor ma tu na myśli te nastroje człowieka, kiedy czuje się on częstką wszechświata; istotnie, dla każdego z nas pogodny, letni dzień ma inny nastrój, niż dzień zimowy — niezależnie od naszych własnych przeżyć.

dziwy i przyjemności. Całym tym krajem i czasem rządził Ktoś, co myślał jedynie o tem, aby mnie przysposobić szczęśliwość. Czasami nie chciałem czuć się szczęśliwym, i to sprawiało temu Rządcy wielki ból, choć ów Ktoś był istotą boską. Pamiętam, że bardzo starałem się wówczas o to, by się czuć posępnym. Gdy się dzień skończył, i zapadał cichy zmrok, poprzedzający wschód księżyca, ten Ktoś opowiadał mi bajki, ja zaś, słuchając, drżałem od stóp do głów z radości. Nigdy już potem nie słyszałem tak pięknych bajek. A gdy uczucie radości stawało się we mnie zbyt wielkie, opiekuńcza istota zaczynała śpiewać cudną, małą piosenkę, która zawsze sprowadzała sen. Wkońcu nadszedł dzień rozstania.—Ktoś płakał i dał mi talizman, którego cnoty mi wyjawiał, ucząc, że ja nigdy, nigdy nie powinienem go zgubić, bo on mi da młodość i możność powrotu. Ale ja nigdy nie wróciłem. Lata szły i któregoś dnia poczułem, że zgubiłem talizman i stałem się śmiesznie stary.

V

Wioska „Długie Wybrzeże” leży niedaleko drogi, u stóp zielonej skały, i składa się z tuzina krytych słomą chat, skupionych koło kamienistego stawu, nad którym rosną sosny. W stawie płynie zimna woda, której dostarcza krynica, tryskająca wprost z serca skały—tak, jak podług wyobrażenia ludzi, poemat tryska wprost z serca poety. Sądząc z ilości kurum i odpoczywających ludzi, było to widocznie ulubione miejsce popasu. Pod drzewami stały ławki, więc zaspokoiwszy pragnienie, siadłem, by zapalić fajkę, spojrzeć na kobiety, piorące bieliznę, i na drzemiących podróżnych. Mój kurumaja tymczasem rozebrał się i zaczął

wylewać na siebie wiadra zimnej wody. Następnie młody człowiek z dzieckiem na plecach*) przyniósł mi herbatę; próbowałem pobawić się z tem dzieckiem, które powiedziało:—„Ah, bah.”

Takie są pierwsze dźwięki, które wydają japońskie niemowlęta. Są to dźwięki typowo wschodnie i trzeba je pisać „aba”. Jako okrzyk zupełnie bezpośredni i niewyuczony, „aba” jest ciekawe. W języku dzieci japońskich znaczy to „żegnaj”—bardzo dziwne słowo w ustach niemowlęcia, które dopiero wchodzi w ten świat złudzeń. Kogo lub co żegna ta mała dusza? Przyjaciół, których miała w poprzednim swem istnieniu i których jeszcze pamięta? Czy towarzyszy swej podróży niewiadomo skąd? Z religijnego punktu widzenia medytacje te są zupełnie na miejscu, bo dziecko nigdy nie może rozstrzygnąć ich za nas. O tem, co myślało ono w tej tajemniczej chwili, gdy wymawiało pierwsze słowa, zapomni dużo wcześniej, niż nauczy się odpowiadać na pytania.

Niespodziewanie nawiedziło mnie dziwne wspomnienie. Być może, poprostu odżyło we mnie na widok młodego człowieka z dzieckiem, może zbudził je śpiew wody w skale: przypomniała mi się bajka.

Dawno już, bardzo dawno temu, gdzieś między górami mieszkał drwal i jego żona. Oboje byli bardzo starzy i nie mieli dzieci. Codziennie mąż udawał się sam do lasu, żona zaś tymczasem siedziała w domu i przędła.

Pewnego dnia staruszek zagłębił się w las dalej niż zwykle, szukając szczególnego gatunku drzewa,

*) W Japonji małe dzieci są noszone na plecach, Przywiązuje się je w taki sposób, żeby mieć ręce swobodne. (Przyp. tłum.)

i naraz znalazł się u brzegu małego źródła, którego przedtem nigdy nie widział. Woda w tem źródle była wyjątkowo czysta i chłodna, drwał zaś był spragniony, gdyż pracował ciężko, a dzień był znojnny. Zdjął więc swój wielki słomiany kapelusz, ukląkł i zaczął pić. Woda odświeżyła go jakoś nadzwyczajnie. Po chwili ujrzał w źródle odbicie swej twarzy i cofnął się, zdumiony. Była to stanowczo jego własna twarz, ale zgoła różna od tej, jaką zwykł był widzieć w starem lusterku w domu. Była to twarz bardzo młodego człowieka. Drwał nie wierzył oczom własnym. Podniósł ręce do głowy, która jeszcze przed chwilą była zupełnie łysa. Teraz głowa była pokryta gęstym, czarnym włosiem. Twarz stała się gładka, jak u chłopca, — wszystkie zmarszczki znikły. Uczuł jednocześnie, że jest pełen świeżych sił. Spoglądał, zdziwiony, na swoje ciało, które już od tak dawna wyszło ze starości, a teraz stało się kształtne i jędrne, mięśnie były silne i młode. Nic nie wiedząc o tem, drwał napił się ze Źródła Młodości, — i ten napój przeistoczył go.

Najpierw podskoczył wysoko w górę i krzyknął z radości, następnie pobiegł do domu tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu nie biegał. Gdy wszedł do izby, żona się przestraszyła, gdyż wzięła go za obcego człowieka. A gdy jej opowiedział o cudzie, narazie nie chciała uwierzyć. Wkońcu jednak udało się drwałowi przekonać ją, że młody człowiek, którego w tej chwili widziała przed sobą, był rzeczywiście jej mężem. Powiedział jej, gdzie jest to źródło, i prosił, żeby poszła razem z nim.

Wówczas żona rzekła: — „Stałeś się taki piękny i młody, że nie możesz kochać dłużej starej baby, więc muszę napić się tej wody natychmiast. Ale nie możemy jednocześnie wyjść z domu. Zaczekaj tu, zanim wrócę.” — I pobiegła do lasu sama jedna.

Znalazła źródło, uklękła i zaczęła pić. Ochl jak-
że chłodna i słodka była ta woda! Piła, piła i piła,
przestawała pić, żeby odetchnąć, i znowu zaczynała
pić.

Jej mąż czekał na nią z niecierpliwością. Spo-
dziwał się, że wróci, przeistoczona w ładną, smu-
kłą dziewczynę. Lecz żona nie wróciła wcale. Mąż,
zaniepokojony, zamknął dom i poszedł sam po żonę.

Gdy przyszedł do źródła, nie mógł jej nigdzie
dojrzeć. Już miał wracać, gdy naraz w wysokiej
trawie usłyszał słabe kwilenie. Zaczął szukać i zna-
lazł ubranie swej żony i dziecko—małeńkie dziec-
ko, mające najwyżej pół roku.

Staruszka wypila zbyt dużo tej cudownej wody,
piła tyle, że cofnęła się dużo wstecz — przez czas
młodości aż do okresu niemowlęstwa.

Drwał wziął dziecko za rękę. Dziecko spoglą-
dało na niego z wyrazem smutku i zdziwienia. Za-
niósł je do domu, szepcząc doń czule. Po głowie
snuły mu się myśli dziwne i melancholijne.

W tej chwili, po rozmyślaniach o Uraszima, mo-
rał tej bajki zdawał się być mniej zadowolający,
niż dawniej. Gdyż pijąc zbyt wiele życia, nie staje-
my się przeto młodszy.

Kurumaja, zupełnie nagi, ochłodziwszy się, wró-
cił i powiedział, że z przyczyny upału nie będzie
mógł zrobić umówionego dwudziestopięciomilo-
wego (mile ang.) kursu, lecz że znalazł na swe
miejscu innego biegacza, który powiezie mnie przez
pozostałą część drogi. Za to, co zrobił sam, chciał
pięćdziesiąt pięć sen.

Było naprawdę bardzo gorąco — przeszło sto
stopni*), jak się potem dowiedziałem. Daleko, jak-

*) Według termometru Farenheita, powszechnie używanego
w Anglii i Ameryce $100^{\circ}=37,8^{\circ}\text{C}$. (Przyp. tłum.)

by pulsowanie upału, słyhać było wciąż głos wielkich bębnów, w które uderzano, żeby sprowadzić deszcz. Ja zaś myślałem wciąż o Córce Króla Smoka.

— Siedemdziesiąt pięć sen, powiedziała mi gospodyni—zauważyłem.—Co przyrzeczono zrobić — tego nie zrobiono. Pomimo to, dam wam siedemdziesiąt pięć sen, ponieważ boję się bogów.

I siedząc za plecami niezmęczonego tymczasem biegacza, pomknąłem w niezmierzony blask—w kierunku wielkich bębnów.

(Out of the East.)

FRAGMENTY Z ŻYCIA I ŚMIERCI

25 lipca. W tym tygodniu miałem trzy oryginalne wizyty.

Przedewszystkiem zjawili się u mnie specjaliści od czyszczenia studzien. Wszystkie studnie należy spuścić, to jest opróżnić i wyczyścić raz do roku, bo w przeciwnym razie, Bóg Studni, Suidzin-Sama, może się obrazić. Przy tej sposobności dowiedziałem się kilku tajemnic o studniach japońskich i ich bóstwie opiekuńczem, które nosi dwa imiona, bo nazywają je również Mizuba-nome-no-mikote.

Suidzin-Sama opiekuje się wszystkimi studniami, utrzymując w nich chłodną i czystą wodę, o ile, oczywiście, właściciele domów zachowują odpowiednie przepisy, nakazane co do czystości. Przepisy te są bardzo surowe. Ci, którzy je łamią, płacą za uchybienie chorobą i śmiercią. Czasami, znacznie rzadziej, ukazuje się sam bóg, przybierając postać węża. Nie spotkałem nigdy świątyni, któraby mu była poświęcona. Lecz raz na miesiąc kapłan wyznania Szinto odwiedza domy rodzin pobożnych, posiadających studnie, odmawia pewne starożytne pacierze i zatyka na zrębie „nabori” — małe papierowe chorągiewki, które stanowią symbol i amulet. Toż samo robi się zwykle po wyczyszczeniu studni. Poczem pierwsze wiadro świeżej wody musi wyciągnąć mężczyzna, bo gdyby

uczyniła to kobieta, woda będzie już potem zawsze mętna.

Bóstwu pomagają w pracy małeńkie służebne, drobne rybki, które Japończycy nazywają „funa”^{*)}. W każdej studni jest jedna, a czasami i dwie funy; oczyszczają one wodę od larw. Podczas opróżniania i oczyszczania studni okazuje się wielką troskliwość tym małym rybkom.

Właśnie dzięki tej wizycie specjalistów od czyszczenia studzien, dowiedziałem się po raz pierwszy o obecności dwóch fun u siebie. Umieszczono je w naczyniu z chłodną wodą i gdy się studnia napełniła, wrzucono je zpowrotem w ich samotną głębie.

Woda w mojej studni jest czysta i zimna, jak lód. Ale pijąc ją teraz, nie mogę nie myśleć o tych dwóch małych, białych stworzeniach, które krążą ciągle w ciemności i które wciąż niepokoi hałaśliwy spad wiader.

Następną wizytę złożyli mi strażacy. Przyszli, ubrani w mundury, i przynieśli swoje maszyny ręczne. Zgodnie ze starym obyczajem obchodzą oni raz do roku, w okresie suszy, cały swój obwód, polewają wodą gorące dachy i otrzymują małe datki od każdego zamożnego właściciela domu. Istnieje bowiem przekonanie, że jeżeli przez dłuższy czas nie pada deszcz, to dachy mogą się zapalić poprostu od działania promieni słonecznych.

Strażacy obleli wodą z sikawek dachy, drzewa i ogród, oświeżając w ten sposób powietrze; dałem im za to trochę pieniędzy, żeby mogli sobie kupić saké^{**)}.

*) Funa — rodzaj małych srebrnych karpi. (Przyp. autora)

**) Saké — wódka z prosa, bardzo słaba. (Przyp. autora).

Trzecia wizyta—była to deputacja dzieci. Przyszły prosić, żebym im nieco dopomógł do godnego uczczenia święta boga Dżizo, którego ołtarz stoi po drugiej stronie ulicy, naprzeciw mego domu. Bardzo chętnie powiększyłem ich kapitał zakładowy, ponieważ lubię tego łagodnego boga, i byłem przekonany, że uroczystość będzie ładna. Następnego dnia rano zobaczyłem, że ołtarz był już udekorowany, zdobiły go kwiaty i latarki. Na szyi Dżizo zawieszono nowy śliniaczek i postawiono przed nim posiłek buddyjski. Następnie cieśle wzniesli na podwórzu świątyni platformę, na której miały tańczyć dzieci, a przed samym zachodem słońca handlarze poustawiali cały szereg straganów z zabawkami. Gdy już zupełnie ściemniało, wyszedłem z domu, chcąc przyjrzeć się dzieciom, tańczącym w rześkim świetle palących się latarek, i przechodząc przez swoją bramę, spostrzegłem wiszącą na niej olbrzymią ważkę, mającą przeszło trzy metry długości. Był to znak wdzięczności dzieci za tę małą pomoc, jaką im ofiarowałem,—była to „kazari”—dekoracja. W pierwszej chwili realizm tego przedmiotu wprowadził mnie w zdumienie. Po dokładniejszym przyjrzeniu się zauważyłem, że ciało ważki stanowiła gałąź sosnowa, owinięta w kolorowy papier, cztery skrzydła wyobrażały cztery łopatkki do węgla, a imbryk do herbaty sprawiał wrażenie żarzącej się głowy. Całość oświecła blask palącej się świecy, którą umieszczono w taki sposób, żeby niezwykle cienie uzupełniały obraz. Był to doskonały przykład zmysłu piękna, który zdolny jest tworzyć przy braku jakiegokolwiek materiału artystycznego pod ręką. Twórcą tego arcydzieła było małe, ośmioletnie dziecko.

Dom, sąsiadujący z moim od strony południowej—niski, ponury budynek — należy do farbiarza. Bardzo łatwo można poznać, gdzie mieszka farbiarz japoński, bo przed domem jego, rozwieszone na kijach bambusowych, suszą się zawsze na słońcu długie kawały jedwabiu lub bawełny — szerokie pasma lazurowe, purpurowe, różowe, blado-niebieskie i perlisto-szare. Wczoraj sąsiad mój zaprosił mnie do siebie. Gdy przeprowadził mnie przez frontową część swego małego mieszkania i gdy znalazłem się na werandzie, umieszczonej z tyłu domu, nie mogłem się oprzeć uczuciu zdumienia na widok ogrodu, którego nie powstydziliby się jakiś stary pałac w Kjoto. Była to bowiem wytworna minijatura pięknego krajobrazu. W przejrzystej wodzie małego stawu uwijały się gromadki złotych rybek z dziwnymi, powykręcانymi ogonkami.

Przez chwilę podziwiałem ten widok, poczem farbiarz zaprosił mnie do małego pokoju, w którym była urządzona kapliczka buddyjska. Chociaż wszystko tu miało w bardzo zmniejszonych rozmiarach, nie przypominam sobie, żebym widział w jakiegokolwiek świątyni artystyczniejszą dobraną całość. Gospodarz objaśnił mnie, że urządzenie kapliczki kosztowało go koło półtora tysiąca jen. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób nawet taka suma mogła wystarczyć.

W pokoju tym były trzy bogato rzeźbione ołtarze, sporo ślicznych obrazów buddyjskich, dużo wytwornych naczyń, pulpit hebanowy, „mokućyo”*), dwa dzwony, jednym słowem, cały aparat świątyni

*) Pusty wewnątrz kłoc drewniany, przypominający z kształtu głowę delfina. Przy czytaniu buddyjskich „sutr” uderza się w ten kłoc, jak w bęben. *Sutra* — księga pobożna. (Przyp. autora).

w minijaturze. Gospodarz domu uczył się w młodości w świątyni buddyjskiej, znał sutry i posiadał te z nich, które są używane wśród wyznawców sekty Dżodo. Powiedział mi, że umie odprawiać wszystkie zwykłe nabożeństwa. Codzień o pewnej oznaczonej godzinie cała rodzina zbierała się w kapliczce na modlitwę, pan domu zwykle czytał im Kyo. W wyjątkowych razach dla odprawiania nabożeństwa przyjeżdżał z sąsiedniej świątyni kapłan buddyjski.

Gospodarz opowiedział mi dziwną historję o rozbójnikach. Farbiarze są szczególnie często napadani przez rabusiów: po pierwsze, dlatego, że mają dużo powierzonych sobie cennych jedwabii, po drugie zaś z tej przyczyny, że farbiarstwo jest uważane za zawód, przynoszący znaczne zyski.

Razu jednego wieczorem rozbójnicy przyszedli do domu pewnego farbiarza. Sam właściciel wyjechał z miasta, w domu zaś zostały tylko kobiety: jego staruszka matka, żona i służąca. Trzech zamaskowanych mężczyzn, z których każdy miał długi miecz w ręku, wpadło do izby. Jeden z nich zapytał służącą, czy w domu jest jaki z czeladników; zapytana zaś, chcąc odstraszyć nieproszonych gości, odpowiedziała, że kilku młodych ludzi jest jeszcze przy pracy. Odpowiedź ta nie stropiła jednak rabusiów. Jeden stanął na straży przy drzwiach, dwaj zaś pozostali ruszyli do sypialni. Przerażone kobiety zerwały się z miejsca, a żona farbiarza spytała: — „Dlaczego chcecie nas zabić?” — Jeden z napastników, który zdawał się być hersztem, odpowiedział: — „Nie mamy zamiaru zabijać was, chcemy tylko wziąć pieniądze. Ale jeżeli nie dacie nam pieniędzy, to wówczas...” — przy tych słowach wbił swój miecz w matę. Wówczas stara matka odezwa-

ła się: — „Bądźcie łaskawi, nie straszcie mojej synowej, ja oddam wam wszystkie, jakie tylko mam w domu, pieniądze. Choć powinniście sami rozumieć, że nie może ich być dużo, ponieważ mój syn pojechał do Kjoto”. — Rzekłszy to, podała im szkatułkę i swą własną sakiewkę. Przywódca rozbójników policzył pieniądze — było dwadzieścia siedem ien i osiemdziesiąt cztery seny — poczem rzekł głosem łagodnym: — „Nie mamy zamiaru straszyć was. Wiemy, że jesteście gorliwe wyznawczynie buddyzmu, więc mamy przekonanie, że powiecie nam prawdę. Czy to są wszystkie wasze pieniądze?” — „Tak, wszystkie — odpowiedziała stara matka. — Jak słusznie powiadacie, wierzę mocno w naukę Buddy i jestem przeświadczona, że jeżeli wy teraz rabujecie mnie, to czynicie to tylko dlatego, że ja w jednym ze swoich istnień poprzednich zrabowałam was. Jest to moja kara za grzech, wobec czego nietylko nie chcę was oszukiwać, lecz jestem rada, że mam sposobność odkupienia zła, jakiego się dopuściłam w swym życiu poprzednim.” — Rozbójnik roześmiał się i rzecze: — „Jesteś dobrą staruszką i wierzymy ci w zupełności. Gdybyś była biedna, nie bralibyśmy nic od ciebie. Teraz zaś chcemy wziąć parę kimono i to” — położył rękę na śliczne jedwabne wierzchnie ubranie. Staruszka zaś odpowiedziała: — „Mogę wam oddać wszystkie kimona mojego syna, ale nie zabierajcie, proszę, tej rzeczy, bo to nie jest własność syna i była mu oddana tylko do farbowania. Co jest nasze — to mogę oddać, lecz nie mogę oddać tego, co należy do innych ludzi.” — „Zupełnie słusznie — zgodził się rozbójnik — nie weźmiemy tego”.

Otrzymawszy kilka sukien, rozbójnicy pożegnali się bardzo grzecznie, lecz zabronili kobietom pa-trzeć wślad za sobą. Stara służąca stała wciąż

w pobliżu drzwi. Przywódca rabusiów, przechodząc koło niej, rzekł: — „Sklamalaś nam, więc masz za to!” — i uderzył ją tak silnie, że straciła przytomność.

Nie ujęto nigdy żadnego z tych rozbójników.

III

29 sierpnia. Gdy ciało zmarłego zgodnie z rytuałem pogrzebowym niektórych sekt buddyjskich zostaje spalone, kapłani i rodzina zaczynają szukać w popiele małej kosteczki, zwanej Hotoke-San lub „Pan Budda”. Podług wierzeń ludowych ma to być, podobno, mała kostka w gardle. Jaka to jest kość rzeczywiście, — nie wiem, bo nigdy nie miałem okazji przyjrzenia się tej relikwii.

Z kształtu tej kosteczki, znalezionej po spaleniu ciała, można przepowiedzieć przyszłe losy zmarłego. Jeżeli następne wcielenie jego duszy ma być szczęśliwe, kość będzie podobna do małego posążka Buddy; lecz jeżeli przyszłe urodziny mają być nie-
szczęśliwe, to kość będzie miała kształt brzydki albo będzie zupełnie bezforemna.

Mały chłopczyk, syn właściciela pobliskiego sklepu z tytoniem, zmarł przeszłej nocy, a dziś we dnie spalono jego zwłoki. Mała kostka, znaleziona w popiele, miała podobno kształt trzech Buddów — San-Tai, co zapewne stanowić będzie wielką pociechę moralną dla zrozpaczonych rodziców.*)

*) W wielkiej świątyni Tennodži w Osaka jest rodzaj piwnicy, do której wrzucają wszystkie takie kosteczki. Zależnie od dźwięku, jaki wydają one, spadając, można podobno dowiedzieć się dalszych szczegółów o Goszo. Po upływie stu lat, od dnia, w którym została zapoczątkowana ta oryginalna kolekcja, wszystkie kości będą zmielone i z uzyskanej w ten sposób pasty ma być zrobiony olbrzymi posąg Buddy. (Przyp. autora).

IV

13 września. Otrzymałem list z Matsue Izumo, z którego dowiedziałem się, że umarł staruszek, który zwykle dostarczał mi cybuszków do fajki. (Fajka japońska składa się zazwyczaj z trzech części—z metalowej miseczki, dostatecznie wielkiej, by zmieścić się w niej mogło ziarno grochu, również metalowego ustnika i cybuszka z bambusu. Ten ostatni trzeba co pewien czas zmieniać.) Staruszek, o którym wspomniałem, bardzo ładnie ozdabiał swoje cybuszki; niektóre z nich wyglądały, jak kolce dzikozwierza, inne robiły wrażenie pierścieni na skórze węża. Staruszek mieszkał na oryginalnej, wąskiej uliczce, na samym krańcu miasta. Znam tę uliczkę, bo chodziłem tam raz, żeby obejrzeć stojący na niej słynny posąg Dżizo, zwany Sziroko-Dżizo, co znaczy „Białe-Dziecko-Dżizo”. Twarz posągu jest wybielona, jak twarz tancerki; dlaczego wybielona — tego nigdy nie mogłem się dowiedzieć.

Staruszek ów miał córkę O-Masu, która żyje dotychczas i o której opowiadają taką historję. Przez wiele lat była ona szczęśliwą żoną — choć jest całkowitą niemową. Dawno już temu rozgniewany tłum zrabował i zniszczył składy pewnego kupca, który spekulował w mieście na ryżu. Pieniądze, między którymi były i złote monety (koban), rozsypano na ulicę. Burzyciele — prości, uczciwi chłopcy — nie brali pieniędzy; chcieli oni zniszczyć, — nie chcieli bynajmniej kraść. Lecz ojciec O-Masu tego samego wieczora podniósł z błota jeden koban i zabrał go do domu. W jakiś czas potem sąsiad jego zadenuncjował go, na skutek czego ojciec O-Masu został aresztowany.

Sędzia, przed którym postawiono więźnia, chcąc

dowiedzieć się prawdy, zadawał krzyżowe pytania O-Masu, nieśmiało, piętnastoletniej dziewczynie. O-Masu czuła, że gdyby odpowiadała w dalszym ciągu na pytania sędziego, to pomimo woli, zdradzi swego ojca; czuła bowiem, że stoi przed wytrawnym inkwizytorem, który bez trudu potrafi wydobyc z niej prawdę. Przestała więc mówić i strumień krwi trysnął z jej ust. Skazała się na wieczne milczenie, odgryzłszy poprostu własny swój język. Ojciec O-Masu został uniewinniony, a jakiś kupiec, zachwycony postępkami dziewczyny, ożenił się z nią i utrzymywał jej ojca w starości.

V

10 października. Powiadają ludzie, że w życiu każdego dziecka jest jeden dzień, tylko jeden, w ciągu którego może ono sobie przypomnieć o swem poprzednim istnieniu i powiedzieć coś o niem.

W dniu, w którym dziecko kończy dwa lata, matka zabiera je do najcichszej części domu i sadza w „mi” czyli koszyk, służący do przesiewania ryżu. Dziecko siedzi w „mi”, a matka, zwracając się do niego po imieniu, mówi: — *Omae no zensé wa, nande attakane? — iute goran.**)

Wówczas dziecko odpowiada jedno słowo. Z jakichś tajemniczych przyczyn odpowiedź nigdy nie bywa dłuższa, często zaś jest tak zagadkowa, że trzeba się zwracać do kapłana, wróżbity przyszłości, z prośbą o wyjaśnienie. Wczoraj, na przykład, mały synek kotlarza, mieszkającego nieopodal nas, odpowiedział na to magiczne pytanie jednym słowem.

*) Twe poprzednie istnienie — co to było? łaskawie popatrz (albo, proszę, popatrz) i powiedz. (Przyp. autora).

wem: — „Ume”. Otóż „ume” może oznaczać kwiat śliwkowy, śliwkę lub imię żeńskie. Czy miało to oznaczać, że chłopiec przypominał sobie, że w poprzednim życiu był dziewczyną? czy może drzewem śliwkowem? — „Dusze ludzi nie wchodzi w drzewa śliwkowe” — powiedział sąsiad. Człowiek zaś, przepowiadający przyszłość, którego spytano dziś rano, co ma znaczyć ta zagadka, oznajmił, że chłopiec był zapewne uczonym, poetą lub mężem stanu, ponieważ drzewo śliwkowe jest symbolem Tenedżin, patrona uczonych, mężów stanu lub ludzi pióra.

VI

Można byłoby napisać całą książkę o tych charakterystycznych cechach życia japońskiego, których żaden cudzoziemiec nie może zrozumieć. Książka taka powinna byłaby zawierać studjum o rzadkich, lecz strasznych przejawach gniewu.

Japończycy bardzo rzadko okazują gniew. Nawet ludzie, należący do niższych warstw społecznych, grożąc komuś na serjo, często zapewniają grzecznie i z uśmiechem, że okazana im łaska nie będzie zapomniana, i że ten, co tej łaski doświadczył, potrafi być wdzięczny. (Nie trzeba jednak myśleć, że jest to ironja — w naszym zrozumieniu tego słowa: jest to tylko delikatny sposób wyrażania się, niechęć nazywania rzeczy ujemnych właściwą nazwą.)

Lecz takie zapewnienie, wypowiedziane z uśmiechem, może zapowiadać śmierć. Jeżeli ma nastąpić zemsta, przychodzi ona zupełnie niespodziewanie. Ani czas, ani przestrzeń w granicach państwa nie stanowią przeszkody dla mściciela, który może iść pięćdziesiąt mil (ang.) dziennie, którego

rzeczy mogą się zawierać w małym węzłku i którego cierpliwość jest prawie bezgraniczna.

Mściciel czasami działa nożem, lecz najczęściej używa miecza, — japońskiego miecza. Ten ostatni zaś w ręku Japończyka jest najstraszliwszą ze wszystkich broni, i człowiek w przystępie furji łatwo może nim zabić w ciągu jednej minuty dziesięć lub dwanaście osób. Rzadko się zdarza, żeby morderca próbował uciec. Dawny obyczaj nakazuje mu po odebraniu życia bliźniemu odebrać je również sobie — i dlatego wpaść w takich razach w ręce policji uważane jest za hańbę. Mściciel zawczasu załatwia wszystkie formalności: rozpisuje listy, wydaje rozporządzenia co do swego pogrzebu, a czasami, — jak to miało miejsce w jednym okropnym wypadku ubiegłego roku, — wykuwa swój własny nagrobek. Poczem, dokonawszy zemsty, zabija sam siebie.

Niedaleko od miasta, we wsi, zwanej Sugikamimura, zdarzyła się niedawno jedna z tych tragedji, które nam trudno zrozumieć. Głównymi aktorami byli: Narumatsu Icziro, młody właściciel sklepu; jego żona, dwudziestoletnia O-Noto, z którą ten się ożenił dopiero przed rokiem, i O-Noto, wuj ze strony matki, Sugimoto Kasaku, człowiek o charakterze popędliwym, który nawet siedział kiedyś w więzieniu.

Tragedja miała cztery akty.

AKT I. Scena: *wnętrze łożni publicznej. Sugimoto Kasaku w wannie. Wchodzi Narumatsu Icziro, rozbiera się, wchodzi do parującej wody, nie spostrzegając obecności swego krewnego, i woła:*

— Aa! Zupełnie jakbym był w Dżigoku, tak ta woda jest gorąca!

(Słowo „Dżigoku“ oznacza piekło buddyjskie, lecz w mowie potocznej oznacza również więzie-

nie — w danym wypadku był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności).

Kasaku (okropnie zły): — Szukasz kłótni, ty, niedowarzony smarkaczu! Co ci się nie podoba?

Icziro (zdziwiony i zaniepokojony, reaguje jednak na ton Kasaku): No! Co? Niema potrzeby objaśniać tego, com powiedział. Chociaż mówiłem, że woda jest gorąca, nie prosiłem, żebyś zrobił ją jeszcze gorętszą.

Kasaku (groźnie): Pomimo, że z własnej swojej winy nie jeden, ale nawet dwa razy byłem w piekle więzienia, to co w tem jest nadzwyczajnego? Jesteś, widocznie, idjota albo szubrawiec.

(Patrzą na siebie przez chwilę, lecz obaj wahają się, choć zostały wypowiedziane takie słowa, jakich żaden Japończyk nie pozwoli sobie powiedzieć. Siły ich są zbyt równe).

Kasaku (uspakajając się, podczas, gdy Icziro coraz bardziej wpada w wściekłość): Dzieciuch, niedowarzony dzieciuch. Kłócić się ze mną! Poco dzieciuchowi potrzebna jest żona? W twojej żonie płynie moja krew, krew człowieka, co był w piekle. Odeślij żonę zpowrotem do mego domu!

Icziro (zrozpaczony, przekonany jednak, że Kasaku pod względem fizycznym przewyższy go): Zwrócić moją żonę? Mówisz, że mam ci ją zwrócić? Zwróćę natychmiast, nie obawiaj się.

Jak dotąd, sprawa jest jasna. Icziro śpieszy do domu, całuje żonę, zapewnia ją o swej miłości, opowiada o całym zajściu i posyła ją nie do domu Kasaku, lecz do domu jej brata. Po upływie dwóch dni, pod wieczór mąż wywołuje O-Noto przed dom, poczem oboje znikają.

AKT II. Scena w nocy. Zamknięty dom Kasaku; przez szpary w rozsuwających się okiennicach widać

światło. Zbliża się cień kobiety. Słychać pukanie. Okiennice się rozsuwają.

Zona Kasaku (pozdając O-Noto): Aa, aa, jak jestem rada, że cię widzę. Racz wejść i napić się łaskawie herbaty.

O-Noto (bardzo słodkim głosem): Dziękuję, naprawdę. Lecz gdzie jest Kasaku-San?

Zona Kasaku:—„Poszedł do innej wioski, lecz powinien już prędko wrócić. Racz wejść i zaczekać na niego.

O-Noto (jeszcze słodziej): Bardzo dziękuję. Przyjdę za chwilę. Ale muszę powiedzieć mojemu bratu.

(Schyla się w ukłonie, znika w ciemności, staje się znów cieniem, do którego podchodzi inny cień. Oba cienie stoją nieruchomo).

AKT III. Scena: *noc, brzeg rzeki, porośnięty sosnami. Woddali widać sylwetkę domu Kasaku. Pod drzewami O-Noto i Icziro. Icziro trzyma latarnię. Oboje mają głowy obwiązane ręcznikami, suknie podpasane, rękawy związane z tyłu sznurkiem „tasuki” dla zachowania swobody ruchu rąk. Każdy z nich ma długi miecz.*

Jest godzina, którą Japończycy określają bardzo wyraziście, mówiąc, że „głos rzeki jest wtedy najdonioślejszy”. Ciszę przerywa od czasu do czasu tylko szum wiatru w igłach sosnowych; jest już późna jesień, i żaby milczą. Dwa cienie nie mówią nic, i odgłos rzeki słychać coraz wyraźniej.

Naraz gdzieś opodal rozlega się plusk wody—ktoś przechodzi w bród płytki strumień; słychać odgłos drewnianych sandałów; nierówne, potykające się kroki człowieka pijanego wciąż się zbliżają. Pijany odzywa się — jest to głos Kasaku; Kasaku śpewa pieśń o miłości i winie.

*Sulta okata ni suirarete;
Ja-ton-ton,*)*

W jednej chwili oba cienie zrywają się i biegną w kierunku śpiewającego. Mkną cicho, bo nogi ich są obute w „waradzi”**). Kasaku wciąż śpiewa.

Naraz jakiś kamień usuwa mu się z pod stóp; Kasaku wykręca sobie nogę w kostce i warczy ze złości. Prawie w tej samej chwili ktoś zbliża latarnię do jego twarzy i trzyma ją w takiej pozycji może przez trzydzieści sekund. Nikt nie mówi ani słowa. W żółtym świetle widać trzy twarze, w szczególny sposób pozbawione wyrazu, podobne raczej do masek. Kasaku poznaje twarze, widzi miecze, przypomina sobie zajście w łaźni i trzeźwieje w jednej chwili. Nie czuje mimo to przerażenia i wybuchu szyderczym śmiechem.

— Ha, ha! małżonkowie Icziro! Myślicie, że ja również jestem dzieckiem? Co chcecie robić z temi rzeczami, które macie w ręku? Dajcie, ja wam pokażę, jak należy ich używać.

Lecz Icziro, rzuciwszy latarnię, chwyta oburącz miecz i strasznym uderzeniem ucina prawe ramię Kasaku. Napastowany chwieje się, a tej samej chwili miecz O-Noto wrzyna się w jego lewe ramię. Kasaku pada na ziemię z okropnym krzykiem: — „Hitoroszil!” — co znaczy mord. Lecz więcej już nie krzyczy. Przez całe dziesięć minut pracują nad nim miecze, a wciąż jeszcze żarząca się latarnia oświetla ten okropny widok. Dwaj spóźnieni przechodnie zbliżają się, słyszą, widzą, zrzucają z nóg sandały i uciekają bez słowa zpowrotem w ciemność.

*) Znaczy to: „Daj ukochanej jeszcze trochę (wina)”. „Ja-ton-ton” — jest tylko przyśpiewkiem, bez żadnego wyraźnego znaczenia, w rodzaju „O, la, la”. (Przyp. autora).

**) Waradzi — sandały, zrobione ze słomy. (Przyp. tłum.)

Wkońcu Icziro i O-Noto siadają wpobliżu latarni dla odpoczynku, bo praca była ciężka.

Syn Kasaku, czternastoletni chłopak, biegnie szukać ojca. Słyszał on śpiew, potem krzyk, lecz nie wie jeszcze, co znaczy strach. Icziro i O-Noto pozwalają mu przybliżyć się. Następnie O-Noto łapie go, rzuca na ziemię, przyciska jego wątłe ramiona kolanami i chwyta za miecz. Lecz Icziro, wciąż jeszcze dysząc ciężko, woła: — „Nie, nie! nie zabijaj chłopca! On nie zrobił nam nic złego!” — O-Noto puszcza chłopca, który jest tak zdumiony, że nie może się poruszyć z miejsca. O-Noto uderza go silnie w twarz, wołając: — „Idź sobie!” — Chłopicz biegnie, nie mając odwagi krzyczeć.

Icziro i O-Noto zostawiają posiekane ciało, idą do domu Kasaku i wołają głośno. Nikt im nie odpowiada; patetyczne, przyczajone milczenie kobiet i dzieci, oczekujących śmierci. Lecz Icziro i O-Noto proszą, żeby się ich nie lękano. Icziro woła:

— Przygotujcie godny pogrzeb! Kasaku padł z mojej ręki!

— I mojej! — głosem przeraźliwym krzyczy O-Noto.

Poczem kroki oddalają się.

AKT IV. Scena: *wnętrze domu Icziro. W pokoju dla gości klęczą trzy osoby: Icziro, jego żona i jakaś starsza płacząca kobieta.*

Icziro: A teraz, matko, wiem, że zostawiając cię samą na świecie, bo przecie nie masz drugiego syna, postępuję źle. Mogę cię tylko błagać o przebaczenie. Lecz mój wuj zawsze będzie opiekować się tobą, i do jego domu powinnaś się udać natychmiast, ponieważ my musimy umrzeć. Śmierć nasza nie będzie zwykła ani trywjalna, — śmierć nasza będzie to wytworna i wspólna Rippana. Ale ty nie powinnaś tego wiedzieć. Idź już.

Matka wychodzi, łkając. Drzwi za nią zamykają na zasuwę. Wszystko jest gotowe.

O-Noto wbija sobie koniec miecza w gardło — nie umiera jednak od razu, i ciało jej targa się przez chwilę. Z ostatniem dobrem słowem na ustach Icziro kładzie kres jej cierpieniom, ścinając jej głowę.

— Cóż dalej?

Dalej Icziro bierze swe pudelko z przyborami do pisania, przyrządza atrament, wybiera dobry pędzelek i na pięknym, starannie dobranym papierze pisze „utę“, t.j. pięciowiersz własnego utworu, który brzmi:

„Meido jori
Ju dempo ga
Aru naraba
Hajaku an czaku
Moszi okuran“*)

Poczem sam przecina sobie gardło.

Oficjalne śledztwo wykazało, że Icziro i jego żona cieszyli się ogólną sympatją i byli znani od dzieciństwa, jako ludzie wyjątkowo uprzejmi i serdeczni.

Zagadnienie naukowe o pochodzeniu Japończyków nigdy jeszcze nie było rozwiązane. Czasami jednak sądzą, że pewne cechy psychiczne zdają się potwierdzać przypuszczenie o ich pochodzeniu malajskim. Pod uległą słodyczą najłagodniejszej kobiecy japońskiej, — słodyczą, o jakiej człowiek Zachodu może mieć zaledwie słabe pojęcie, — kryją

*) Treść tego wiersza jest mniej więcej taka: „Jeżeli z Meido można będzie posłać listy albo depesze, napiszę, donosząc o naszym prędkim i pomyślnem przybyciu tam (Meido — świat pozaziemski). (Przyp. autora).

się możliwości takiego okrucieństwa, jakie trudno jest sobie wyobrazić, o ile się go nie widziało. Japonka umie tysiąc razy przebaczyć, tysiąc razy może poświęcić swą osobę w najbardziej wzruszający sposób, lecz niech ktoś zadraśnie jakiś jeden tajemniczy, wyłączny nerw w jej duszy, a wówczas ogień prędeij wybaczy, niż ona. W wątlej napozór kobiecie może się zjawić odwaga nie do uwierzenia, przerażająca, chłodna, niewyczerpana żądza uczciwej zemsty. Pod całym zdumiewającym spokojem i wielką cierpliwością mężczyzn kryje się coś, co jest twarde, jak diament, i czego nie można dotykać bezkarnie. Dotknij niebacznie, — a nie będzie ci to przebaczone. Lecz uraza nieczęsto bywa wynikiem przypadku. Pobudki każdego postępu są zwykle starannie rozważane. Błąd może być przebaczony; rozmyślna złośliwość — nigdy.

Czasami w domach zamożnych Japończyków pokazują gościowi zbiory rodzinne. Między niemi prawie na pewno będą te wyszukane przedmioty, które stanowią część japońskiego serwisu do herbaty. Bardzo więc być może, że postawią przed wami ładne, małe pudełko. Gdy je otworzycie, zobaczycie tylko śliczny jedwabny woreczek, związany jedwabnym, pokrytym malutkimi frendzelkami, sznureczkiem. Jedwab jest niesłychanie miękkie, w najlepszym gatunku, z wyszukany deseniem. Jaki cud kryje się pod tym futerałem?

Otwieracie woreczek i wewnątrz widzicie drugi woreczek z innego gatunku jedwabiu, lecz również bardzo piękny. Otwieracie następny woreczek i widzicie trzeci, w którym jest czwarty, a w czwartym — piąty, w piątym — szósty, a w szóstym — siódmy, a siódmy zawiera w sobie najdziwniejsze, najprostsze, najtwardsze, jakie kiedykolwiek widzieliście, naczynie z gliny chińskiej. Jest ono może pro-

stacje, ale też bardzo drogie; może być, że ma przeszło tysiąc lat.

W podobny sposób stulecia najwyższej kultury społecznej owinęły charakter japoński w wiele drogocennych, miękkich jedwabów grzeczności, delikatności, cierpliwości, słodyczy i poczucia moralnego. Lecz pod osłoną tych różnorodnych pokryć leży glina pierwotna, twarda, jak żelazo, zaprawiona ogniem krwi mongolskiej i niebezpieczną przebiegłością malajską.

VII

28 grudnia. Z za wysokiego płotu, który otacza mój ogród, widać kryte słomą dachy kilku małych domków, zamieszkałych przez rodziny, należące do najuboższej klasy. W jednym z tych małych mieszkań wciąż słychać jęk, głęboki jęk cierpiącego człowieka. Słyszę go już przeszło od tygodnia i w dzień, i w nocy, lecz w ostatnich czasach ten jęk stał się głośniejszy i bardziej przewlekły, jak gdyby każdy oddech był męczarnią śmiertelną.

— Ktoś tam jest bardzo chory — mówi z wyrazem wielkiego współczucia Manjemon, mój stary tłumacz.

Jęki te mnie drażnią, więc odpowiadam dosyć brutalnie:

— Myślę, że wszystkim byłoby lepiej, gdyby ten ktoś umarł.

Manjemon robi trzykrotnie prędki, nagły ruch obojgiem rąk, jakby chcąc odpędzić zły wpływ moich słów, szepcze krótką modlitwę buddyjską i wychodzi, rzucając na mnie spojrzenie, pełne wymówki. Tknięty wyrzutem sumienia, posyłam słuzącego z zapytaniem, czy chory ma lekarza i czy nie mogę mu być w czem pomocny? Po chwili słu-

żący wraca i oznajmia, że lekarz regularnie odwiedza chorego i że nic innego nie można zrobić.

Widzę jednak, że pomimo tych nieokreślonych, niby pajęczych ruchów, cierpliwe nerwy Manjemona nie mogą dłużej wytrzymać tego krzyku. Przyznał mi się, że chce się przenieść do małego pokoju frontowego, bliżej ulicy, żeby być jak można najdalej od tych odgłosów. Co do mnie, to nie mogę ani czytać, ani pisać. Gabinet mój mieści się z tyłu domu i jęk słychać w nim tak wyraźnie, jak gdyby chory znajdował się w moim pokoju. W tym bolesnym krzyku jest zawsze jakieś okropne brzmienie, po którym można poznać natężenie bólu, i ja wciąż zadaję sobie pytanie, w jaki sposób istota ludzka, wydająca te straszne jęki, których słuchanie jest dla mnie męczarnią, może wytrzymać napięcie swego cierpienia i trwać jeszcze przy życiu.

Doznawaliśmy uczucia rzeczywistej ulgi, kiedy późnym rankiem odgłos małego bębna buddyjskiego i chóralne śpiewy „Namu myo ho renge kyo” zagłuszały te okropne jęki. Widocznie w pokoju chorego zbierali się kapłani i krewni.

— Ktoś umrze — mówił Manjemon i również powtarzał święte słowa ku chwale „Lotosu Dobrego Prawa”.

Śpiew i bicie w bęben trwa przez kilka godzin. Gdy tylko ścichną, znowu daje się słyszeć jęk. Przy każdym oddechu — jęk! Pod wieczór staje się on jeszcze głośniejszy — okropny. I naraz urywa się. Przez kilka minut trwa martwa cisza, potem słyszemy rozpaczliwy płacz kobiety i głosy, wywołujące jakieś imię.

— Ach, ktoś umarł — powiada Manjemon.

Naradzamy się. Manjemon dowiedział się, że ludzie ci są bardzo ubodzy, więc ja, dręczony wciąż przez wyrzuty sumienia, proponuję, żeby posłać

im małą sumę pieniędzy na pokrycie kosztów pogrzebu. Manjemon sądzi, że robię to wyłącznie z miłosierdzia, i mówi dużo pięknych słów. Posyłałamy służącego z uprzejmem zapytaniem, przyczem polecamy mu, aby o ile to możliwe, dowiedział się historii życia zmarłego. Nie mogę bowiem oprzeć się myśli, że była w niem jakaś tragedia, a tragedje japońskie są zwykle ciekawe.

29 grudnia. Jak przypuszczałem, wypadek ten godzien był tego, by się o nim dowiedzieć. Rodzina składała się z czworga osób: ojca, matki — oboje byli bardzo starzy i słabi — i dwóch synów. Ten, który umarł, był to właśnie starszy syn — miał trzydzieści cztery lata, chorował zaś od siedmiu. Młodszy brat, z zawodu „kurumaja”, utrzymywał całą rodzinę. Nie posiadał własnego wózka i musiał go wynajmować, płacąc po pięć sen dziennie za prawo używania.

Chociaż był silnym i prędkim biegaczem, zarabiał jednak niewiele, gdyż w obecnych czasach, z powodu nadmiernej konkurencji, zawód kurumaji nie jest bardzo popłatny. Pracował z całej siły, żeby utrzymać rodziców i chorego brata, i czynił to z wielkiem zaparciem się siebie. Nie pozwalał sobie nigdy nawet na kubek sake, nie ożenił się, żył jedynie poto, żeby spełniać swój obowiązek względem rodziny.

Historja zaś zmarłego brata jest taka. Gdy miał lat koło dwudziestu i trudnił się handlem ryb, zakochał się w ładnej służącej z oberży. Dziewczyna odpowiedziała mu wzajemnością, i oboje przysięgli sobie miłość dozgonną. Lecz na drodze do ich małżeństwa stanęły przeszkody. Dziewczyna była o tyle ładna, że zwróciła na siebie uwagę człowieka dość zamożnego, który poprosił o jej rękę w przyjęty przez obyczaj sposób. Dziewczynie się nie po-

dobał, lecz te dobre warunki, jakie mógł ofiarować, wpłynęły na jej rodziców tak, że przyjęli jego propozycję. Straciwszy nadzieję co do możliwości pobrania się, kochankowie postanowili wykonać dżoszi*). Spotkali się gdzieś w nocy, powtórzyli przysięgę przy winie i napisali listy pożegnalne. Następnie chłopak uderzeniem miecza zabił swą ukochaną i tą samą bronią przeciął sobie gardło. Lecz zanim zdążył umrzeć, do ich kryjówki wpadli ludzie, odebrali mu miecz, posłali po policję, wezwali z garnizonu lekarza wojskowego. Niedoszłego samobójcę odwieziono do szpitala, leczono starannie, a po kilku miesiącach rekonwalescencji oddano pod sąd za zabójstwo.

Nie mogłem dowiedzieć się dokładnie, jaki był wyrok w tej sprawie. W tych czasach sędziowie japońscy byli zwykle bardzo dyskretni, o ile mieli do czynienia z przestępstwami, popełnionymi pod wpływem miłości, a ich współczucie dla podsądnego nie było jeszcze wtedy skrępowane artykułami prawnymi, ułożonemi na modłę Zachodu. Może być, że w danym wypadku sędziom wydawało się, iż sam fakt przeżycia „dżoszi” jest wystarczająco surową karą. Opinia publiczna w takich razach jest mniej miłosierna od prawa. Po odbyciu kary więziennej pozwolono nieszczęsnemu człowiekowi wrócić do rodziny, lecz oddano go pod stały dozór policji. Ludzie stronili od niego. Popełnił on błąd, że nie pozbawił się życia; tylko rodzice i brat pozostali przy nim. Wkrótce zaś zapadł na ciężkie cierpienia fizyczne. Pomimo to jednak nie chciał umrzeć.

Stara rana w gardle, chociaż zaleczona niegdyś jak najstaranniej, zaczęła sprawiać ból nieznośny.

*) Dżoszi — samobójstwo.

Po pozornem zaleczeniu rozwinęła się w niej narośl rakowata i dotarła do dróg oddechowych powyżej i poniżej miejsca, przez które przeszło ostrze miecza. Nóż chirurga i tortury przypalania mogły tylko opóźnić koniec. Jednak człowiek ten żył ze swą chorobą przez siedem lat, męcząc się coraz okropniej. Istnieje wśród ludu podanie, że jeżeli ktoś zdradzi umarłego, nie dotrzymując przysięgi, że uda się z nim razem do Meido*), to spotka go za to tajemnicza kara. Ludzie mówili, że ręka zmarłej dziewczyny wciąż otwierała ranę i psuła w nocy to, co lekarz zdołał zrobić w ciągu dnia. Istotnie ból w nocy zawsze się zwiększał i najstraszniejszy był właśnie o tej godzinie, w której chory usiłował kiedyś popełnić „szindżu**).

Rodzice i brat dzięki wielkiej oszczędności i nadzwyczajnemu zaparciu się siebie znajdowali środki na lekarstwa, na lekarza i dobre pożywienie, na które nigdy nie pozwalali sobie sami. Z całych sił starali się przedłużyć to życie, które było ich hańbą, przyczyną ich nędzy, ich ciężarem. A teraz,—gdy śmierć uwolniła ich od tego ciężaru,—plakali.

Być może, że my wszyscy uczymy się kochać to, w imię czego ponosimy ofiary. Naprawdę, można postawić pytanie, czy nie kochamy najsilniej tego właśnie, co sprawia nam największy ból.

(Out of the East)

*) Meido—w pojęciach japońskich o życiu pozagrobowym odpowiada Polom Elizejskim w wierzeniach greckich.

**) Szindżu — samobójstwo.

SPEŁNIONE ŻYCZENIE

A gdy opuścisz swe ciało i wejdiesz w eter swobodny, staniesz się Bogiem nieśmiertelnym, wiecznie trwającym, i śmierć nie będzie miała władzy nad tobą.

Złote wiersze.

I

Ulice roily się od białych mundurów, słysząc było głosy trąbek i turkot przejeżdżającej artylerji. Wojska japońskie po raz trzeci w historii podbiły Koreę, a gazety wydrukowały na purpurowym papierze wypowiedzenie przez cesarza wojny Chinom. Wszystkie siły wojenne kraju były w ruchu. Powołane zostały pierwsze roczniki rezerwy i wojska przybywały do Kumamoto. Tysiące żołnierzy rozmieszczono w mieszkaniach prywatnych, bo koczary, hotele i świątynie nie mogły pomieścić przechodzących wojsk.

I wciąż jednak brakło miejsca, chociaż specjalne pociągi odwoziły pułki, o ile można było co rychlej, na północ, do transportów, czekających w Szimonoseki.

Pomimo tego olbrzymiego ruchu miasto było dziwnie spokojne. Wojska zachowywały się cicho i łagodnie, jak uczniowie japońscy w godzinach lekcji; nie słysząc było hałasów i głośnych objawów wesela.

Na podwórzach świątyń kapłani buddyjscy prze-

mawiali do wojsk, a na placu parad odbyła się wielka ceremonia, na którą przyjechał z Kijoto starszy kapłan sekty Szinszu. Ceremonia ta polegała na tem, że na młodą głowę każdego żołnierza kapłan kładł obnażoną brzytwę, co miało oznaczać dobrowolne wyrzeczenie się próżności życiowej i było święceniem żołnierskiem. W taki sposób całe tysiące zostały oddane pod opiekę Amidy*). Wszędzie przed ołtarzami starożytniejszych wyznań kapłani i lud zanosili modły do świętych cieni bohaterów, którzy dawnymi czasy walczyli i ginęli za swego cesarza; modlili się również i do bogów armji. W świątyni wyznania Szinto, Fudzisaki, rozdawano ludziom poświęcane talizmany. Lecz najbardziej imponujące obrzędy odbywały się w Honmiodzi, słynnym klasztorze sekty Nicziren, w którym od trzechset lat spoczywały prochy Kato Kijomasa, zdobywcy Korei, wroga jezuitów i protektora buddyzmu; w Honmiodzi, w którym głosy pielgrzymów, śpiewających święte słowa modlitwy, „Namu-myo-ho-renge-kyo” hucza, jak przypływ morski; w Honmiodzi, w którym możecie kupić śliczne „mamori”**), mające kształt malutkiego ołtarzyka buddyjskiego z minjaturowym wizerunkiem ubóstwianego rycerza. W wielkiej, głównej świątyni, jak również i w mniejszych, stojących po obu stronach długiej drogi, śpiewano odrębne pieśni i zanoszono osobliwe modły do ducha bohatera, prosząc go o pomoc. Nie widać było już pancerza, hełmu i miecza Kijomasa, które przechowywano w wielkim ołtarzu przez trzy wieki. Niektórzy mówili, że przedmioty te wysłano do Korei w celu podniesienia ducha w armji. Lecz inni opowiadali,

*) Amida — Budda.

**) Mamori — amulet.

iż słyhać było echa podków na podwórzu świątyni w nocy, i że potężny Cień, który powstał z wiecznego snu, powstał i wyruszył, żeby jeszcze raz poprowadzić armję Syna Niebios na podbój. Bezwątpienia wielu żołnierzy, dzielnych, prostych chłopców wiejskich, wierzyło w to opowiadanie tak, jak Ateńczycy wierzyli w obecność Tezeusza w bitwie pod Maratonem. Tem bardziej, że w oczach wielu nowych rekrutów samo Kumamoto było to miejsce cudowne, poświęcone pamięci wielkiego wodza, a zamek, który Kijomasa wybudował na wzór twierdzy, obleganej w Korei, wydawał się im ósmym cudem świata.

Pośród wszystkich tych przygotowań ludność zachowywała się dziwnie spokojnie. Z zewnętrznych oznak żaden cudzoziemiec nie mógłby się domyślić uczuć ogółu ludności. *)

*) Było to pisane w Kumamoto, w jesieni 1894 roku. Entuzjazm mas był skoncentrowany i spokojny; lecz pod tym zewnętrznym spokojem tliła się zawziętość z dawnych feudalnych czasów. Rząd był zmuszony odmówić przyjęcia do szeregów dziesiątkom ochotników. Jestem przekonany, że gdyby ogłoszono wezwanie ochotników, to w ciągu tygodnia stanęłoby 100.000 ludzi. Lecz duch wojny objawiał się i w inny sposób, również bolesny, jak i nadzwyczajny. Dużo ludzi popełniło samobójstwo dlatego, że odmówiono im przyjęcia do służby wojskowej. Mogę przytoczyć na chybił trafił kilka oryginalnych wypadków, wziętych z prasy miejscowej. Żandarm w Söul, który otrzymał rozkaz towarzyszenia ministrowi Otari w jego powrotnej podróży do Japonji, zabił się ze zmartwienia, że nie będzie mógł z tej racji udać się na pole bitwy. Oficer, imieniem Iszijama, któremu choroba przeszkodziła połączyć się ze swym pułkiem w dniu, w którym pułk ten odjeżdżał do Korei, wstał z łóżka i, złożywszy ukłon przed portretem cesarza, zabił się swym własnym mieczem. Żołnierz, imieniem Ikeda, w Osaka, gdy mu powiedziano, że z powodu jakiegoś przekroczenia, nie pozwolą mu pójść na front — zastrzelił się. Kapitan Kani z „Brygady mieszanej“ zachorował ciężko podczas ataku na fort w pobliżu Czinczou, (w ataku tym brał udział

Ten powszechny spokój był zjawiskiem typowo japońskim; naród, tak samo jak i oddzielne jednostki, zdawał się tem bardziej opanowanym na zewnątrz, im bardziej wchodziły w grę jego najgłębsze uczucia i namiętności. Cesarz przysyłał swym wojskom w Korei podarki i słowa miłości ojcowskiej; obywatele, idąc za przykładem władcy, ładowali na każdy odchodzący parowiec zapasy wina ryżowego, prowianty, owoce, słodycze, tytoń i rozmaite dary. Ci, którzy nie mogli pozwolić sobie na nic bardziej kosztownego, posyłali słomiane sandały. Cały naród podpisał się na pożyczkę wojenną. Kumamoto, choć nie było bynajmniej miastem bogatym, robiło wszystko, co mogło, żeby dać dowód swej lojalności. Czek kupca, papierowy dolar rzemieślnika, dziesiątka robotnika i miedziaki ku-

jego pułk) i został odwieziony do szpitala w stanie nieprzytomnym. Po tygodniu, wróciwszy do zdrowia, udał się 28 listopada na to samo miejsce, na którem upadł, i zabił się, zostawiając list, przetłumaczony następnie przez gazetę „Japan Daily Mail“: „...W tem miejscu choroba zniewoliła mnie zatrzymać się i opuścić moich żołnierzy, którzy poszli do szturmowania beze mnie. Nigdy w życiu nie będę mógł zmyć tej hańby. Dla oczyszczenia mego honoru—umieram, zostawiając ten list, by mówił za mnie.“

Jakiś lejtnant w Tokio, nie mogąc znaleźć nikogo, co by w razie jego odjazdu, mógł zaopiekować się jego małą córeczką, zabił dziecko i połączył się ze swym pułkiem, zanim wiadomość o tym czynie się rozeszła. Lejtnant ten szukał następnie śmierci na polu bitwy—i znalazł ją,—chcąc połączyć się ze swym dzieckiem w jego podróży do Meido. Wypadek ten przypomina okropnego ducha czasów feudalnych. Samurajowie, przed udaniem się na jakąś beznadziejną walkę, zabijali czasami żony i dzieci w myśl zasady, że żaden rycerz nie powinien pamiętać na polu bitwy o trzech rzeczach, a mianowicie: o domu, o swych bliskich i swem własnem ciele. Po dokonaniu tego okrutnego bohaterstwa samuraj był gotów do „Szinimonogurui“—godziny „furji śmierci“; nie okazywał laski wrogowi i nie przyjmował jej sam.

rumaji—leżały obok siebie w wielkiem braterstwie dobrowolnego samozaparcia się. Nawet dzieci składały swe datki, i ich wzruszające małe ofiary też przyjmowano, aby niczem nie zrazić powszechnego porywu patriotycznego. Na każdej ulicy zbierano specjalne podpisy na rodziny żołnierzy i zapasowych — ludzi żonatych, przeważnie niezamężnych, którzy byli zmuszeni nagle zostawić żony i dzieci bez żadnych środków do życia. Obywatele miasta dobrowolnie i uroczyście przyrzekli dostarczyć im tych środków. Nikt nie mógł wątpić, że żołnierze, czując za sobą całą tę wielką miłość, spełnią więcej nawet, niż to, czego od nich wymagał prosty obowiązek.

I żołnierze rzeczywiście spełnili więcej, niż oczekiwano.

II

Manjemon oznajmił mi, że u drzwi wejściowych stoi jakiś żołnierz, który chce mnie widzieć.

— Och, Manjemonie! mam nadzieję, że nie przysyłają nam żołnierza do mieszkania! Nasz dom jest zbyt mały! Zapytaj, proszę, czego on chce.

— Pytałem—odparł Manjemon — mówi, że zna pana.

Podszedłem do drzwi i zobaczyłem ładnego, młodego chłopca w mundurze. Chłopak na mój widok uśmiechnął się i zdjął czapkę. Nie mogłem go poznać, chociaż uśmiech jego zdawał się być mi znany. Gdzie ja mogłem widzieć ten uśmiech przedtem?...

— Nauczycielu, czy rzeczywiście nie przypominacie mnie sobie?

Przez chwilę patrzyłem na niego, zdziwiony, wreszcie chłopak zaśmiał się zcicha i powiedział swoje imię.

— Kosuga Asakiczi.

Jakżeż radośnie zabiło mi serce, gdy wyciągnąłem doń ramiona.

— Wejdz! wejdz!—zawołałem.—Ale jak bardzo i jak ładnie wyrosłeś! Nic dziwnego, że cię nie poznałem.

Asakiczi zeczerwienił się, jak dziewczyna, zrzucił obuwie i odpiął swój miecz. Przypomniałem sobie, że w taki sam sposób rumienił się zwykle w klasie,—i gdy zrobił błąd, i gdy go chwalono. Widocznie serce jego było i teraz tak samo niewinne, jak wówczas, gdy był nieśmiałym szesnastoletnim chłopcem w szkole w Matsue. Pozwolono mu przyjąć pożegnać się ze mną; jego pułk odjeżdżał jutro do Korei.

Zjedliśmy razem obiad, rozmawialiśmy o dawnych czasach, o Izumo, o Kicuki*) i o wielu innych miłych, pamiętnych rzeczach. Z początku napróżno starałem się go namówić do wypicia trochę wina, nie wiedząc, że przyrzekł swej matce nie pić nic przez czas pobytu w armji. Dowiedziawszy się o tem, zaproponowałem zamiast wina kawę i poprosiłem go, by mi opowiedział coś o sobie. Po ukończeniu szkoły wrócił do swych rodzinnych stron z zamiarem pomagania rodzicom, którzy byli za-możnymi gospodarzami. Okazało się, że studja rolnicze w szkole przyniosły mu wielki pożytek. Po upływie roku wszyscy młodzi ludzie w wiosce, którzy skończyli dziewiętnaście lat, zostali wezwani do świątyni buddyjskiej, gdzie zbadano ich zdolność do służby wojskowej pod względem fizycznym i zarejestrowano stopień wykształcenia. Asakiczi na mocy orzeczenia lekarza i majora (szosa) przeszedł, jako icziban (pierwszy stopień), i został

*) Miejscowości.

wciągnięty na listę. Po trzynastu miesiącach służby dostał promocję na sierżanta. Asakiczi lubił wojsko. Z początku był w Nagoja, następnie — w Tokio; lecz dowiedziawszy się, że pułk jego nie będzie wysłany do Korei, podał prośbę o przeniesienie go do dywizji Kumamoto. — „A teraz jestem tak szczęśliwy — zawołał z wyrazem promiennej radości na twarzy — jutro już wyjeżdżamy!” — i znowu zarumienił się, jakby wstydząc się tej szczerej wypowiedzi swego zachwytu. Przyszło mi na myśl głębokie powiedzenie Carlyle’a, że nie radość, lecz tylko cierpienie i śmierć nęcą prawdziwie dostojne serca. Pomyślałem również, — czego nie mogłem powiedzieć żadnemu Japończykowi, — iż radość, która świeci w oczach tego chłopca, była tak piękna, że mógłbym ją porównać tylko z wyrazem pieczyoty w oczach kochanka w dzień jego ślubu.

— Czy pamiętasz, — spytałem — jak oznajmiłeś w klasie, że chcesz umrzeć za cesarza?

— A jakże — odparł, śmiejąc się. — A teraz zdarzyła się sposobność nie tylko dla mnie, ale i dla wielu mych kolegów szkolnych.

— Gdzie oni są? — spytałem. — Razem z wami?

— Nie. Wszyscy byli w dywizji Hiroszima i teraz już są w Korei. Imaoka — pamiętasz go, nauczycielu? on był bardzo wysoki — i Nagasaki, i Iszihara — wszyscy byli w bitwie pod Söng-Hwan. I nasz nauczyciel ćwiczeń wojskowych, porucznik — przypominasz go sobie?

— Porucznik Fudzin? — owszem. On przecież podał się do dymisji i opuścił służbę wojskową.

— Lecz należał do rezerwy. Również poszedł do Korei. Po twoim wyjeździe z Izumo urodził mu się drugi syn.

— Miał dwie małe dziewczynki i jednego chłopca, gdy ja byłem w Matsue.

— Tak, teraz ma dwóch chłopców.

— Wobec tego jego rodzina bardzo się zapewne niepokoi o niego.

— On jest spokojny — odpowiedział chłopak.

— Śmierć na polu bitwy jest bardzo zaszczytna, a rząd będzie się opiekował rodzinami tych, którzy zostaną zabici. Więc nasi oficerowie nie czują obawy. Tylko... bardzo jest smutno umierać, jeżeli się nie ma syna.

— Nie rozumiem, dlaczego.

— Czy nie jest tak samo na Zachodzie?

— Przeciwnie. Nam się zdaje, że ciężiej jest umierać temu człowiekowi, który ma dzieci.

— Ale dlaczego?

— Każdy dobry ojciec niepokoi się o przyszłość swych dzieci. Jeżeli niespodziewanie zostanie oderwany od nich, mogą one być narażone na wiele przykrości.

— W naszych rodzinach jest inaczej. Krewni starannie opiekują się dzieckiem, a rząd wypłaca emeryturę. Więc ojciec nie ma powodów do niepokojów. Lecz ciężko jest umierać temu, który wcale nie ma dzieci.

— Czy ze względu na żonę i resztę rodziny?

— Nie. Mam na myśli tego, co ginie.

— Dlaczego? Jaki pożytek może mieć z syna człowiek umarły?

— Syn dziedziczy. Syn utrzymuje nazwisko rodzinowe. Syn składa ofiary.

— Ofiary zmarłemu?

— Tak. Rozumiesz teraz?

— Rozumiem fakt, ale nie rozumiem uczucia. Czy i wojskowi dotychczas przytrzymują się tych wierzeń?

— Oczywiście. A czy na Zachodzie niema takich wierzeń?

— Teraz nie. U starożytnych Greków i Rzymian były podobne wierzenia. Sądziłi oni, że duchy przodków mieszkają w domu, przyjmowały ofiary i rozłączały opiekę nad rodziną. Wiemy do pewnego stopnia, dlaczego oni tak myśleli, lecz nie możemy sobie dokładnie wyobrazić, co czuli, ponieważ nie jesteśmy w stanie zrozumieć tych uczuć, których nigdy nie doświadczaaliśmy lub których nie odziedziczyliśmy. Z tej samej przyczyny ja nie mogę zrozumieć uczuć Japończyków w stosunku do umarłych.

— Więc przypuszczasz, że ze śmiercią kończy się wszystko?

— To nie jest rozwiązaniem tego trudnego zagadnienia. Niektóre uczucia są odziedziczone, a tak samo może niektóre idee. Wasze myśli o umarłych i uczucia, żywione do nich, zarówno jak i obowiązki żywych względem umarłych są całkowicie różne od pojęć i uczuć ludzi Zachodu. Dla nas pojęcie o śmierci jest równoznaczne z pojęciem zupełnego oddzielenia umarłych nie tylko od żywych, lecz i od świata. A czyż buddyzm nie mówi również o długiej, ciemnej podróży, którą muszą odbyć umarli?

— Podróż do Meido?— Owszem. Wszyscy muszą ją odbyć. Lecz my nie myślimy o śmierci, jako o zupełnem rozłączeniu. Myślimy o umarłym tak, jakby on był wciąż z nami. Mówimy do niego codzień.

— Wiem o tem, ale nie rozumiem myśli, ukrytej w tych obrzędach. Jeżeli umarły idzie do Meido, to dlaczego przodkom składają ofiary przed domowym ołtarzem i modlą się do nich tak, jakby ci byli naprawdę obecni? Czy lud prosty nie płacze w ten sposób nauki buddyzmu z wiarą Szinto?

— Może być, że wielu to robi. Lecz nawet i ci, którzy są tylko buddystami, składają ofiary i modlą się do umarłych w różnych miejscach w tym samym czasie w świątyniach parafjalnych i przed rodzinnym *butsudanem**).

— Ale w jaki sposób można myśleć o duszach, że są one jednocześnie i w Meido, i w rozmaitych innych miejscach? Jeżeli nawet ludzie wierzą w mnogość dusz, — nie tłumaczy to wcale tej sprzeczności. Bo umarli, zgodnie z nauką Buddy, musi być sądzony.

— Podług naszych pojęć dusza jest zarówno pojedyncza, jak i wieloraka. Jest to dla nas jedna istota, lecz prawdziwie niematerialna, która może być jednocześnie w wielu miejscach tak, jak ruch powietrza.

— Lub elektryczności—podpowiedziałem.

— Właśnie.

Najwidoczniej mój młody przyjaciel nie uważał, żeby pojęcia o Meido i o czci dla umarłych w domu zawierały w sobie jakąś sprzeczność. Może być, że żaden uczeń filozofii buddyjskiej nie widział sprzeczności w nauce tych dwóch wierzeń. Sutra „Lotos Dobrego Prawa” uczy, że stan Buddy „jest bez końca i bez granic—nieskończony, jak żywioł eteru”. O Buddzie, który już dawno wszedł do nirwany, mówi się tam: „Nawet po swem zupełnem wygaśnięciu chodzi on po całym świecie we wszystkich dziesięciu punktach przestrzeni”. I w tej samej Sutrze, wyliczywszy jednoczesne zjawienia się wszystkich Buddów, jacy kiedykolwiek byli, nauczyciel oświadcza: „Wszystko to są moje własne ciała, liczne, jak piasek w Gangesie, zjawily się one dlatego, żeby prawo mogło być dokonane”. Lecz

*) Butsudan—domowy ołtarz buddyjski.

zdawało mi się oczywistym, że w wyobraźni ludu prostego prymitywne pojęcia religii Szinto i znacznie wyraźniejsza doktryna buddyjska o sędzie dusz nie mogły się pogodzić.

— Czy możecie myśleć o śmierci, — spytałem — jak o życiu i świetle?

— Bezwątpienia — odrzekł chłopak z uśmiechem. — Myślimy, że po śmierci będziemy wciąż z naszą rodziną. Będziemy widzieli naszych rodziców, naszych przyjaciół. Pozostaniemy na tym świecie i będziemy widzieli światło tak, jak widzimy je teraz.

W tej chwili przypomniałem sobie zdanie w wypracowaniu ucznia na temat przyszłości człowieka. Zdanie to nabrało dla mnie teraz nowego znaczenia: „Jego dusza będzie się unosiła wiecznie we wszechświecie”.

— I dlatego — mówił dalej Asakiczi — człowiek, który ma syna, może umierać z pogodnym sercem.

— Czy dlatego, że syn będzie składał ofiary z jada i napoju, bez których duch mógłby cierpieć? — spytałem.

— Nietylko dlatego. Są obowiązki daleko ważniejsze, niż składanie ofiar. Chodzi o to, że każdy człowiek musi być kochany po śmierci. Czy teraz rozumieście?

— Zrozumiałem tylko wasze słowa — odparłem — tylko zewnętrzne przejawy tej wiary. Uczucia nie jestem w stanie pojąć. Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób miłość żyjących może uczynić mnie szczęśliwym po śmierci. Nie mogę nawet wyobrazić sobie, żebym po śmierci mógł mieć świadomość jakiejś miłości. A ty — ty idziesz tak daleko na wojnę, czy cię to martwi, że nie masz syna?

— Och, nie! Sam jestem synem, młodszym synem. Moi rodzice żyją dotychczas i są zdrowi, a brat opiekuje się nimi. Jeżeli mnie zabiją, w domu jest wiele osób, które będą mnie kochały—bracia, siostry i małe dzieci. My, żołnierze, jesteśmy w zupełnie innym położeniu; prawie wszyscy jesteśmy bardzo młodzi.

— Przez wiele lat—spytałem—zmarłemu składa się ofiary?

— Przez sto lat.

— Tylko przez sto?

— Tak. Nawet w świątyniach buddyjskich modlą się i składają ofiary tylko w ciągu stu lat.

— Czy po stu latach duch umarłego przestaje wymagać pamięci żywych? Czy może znika sam? Czy jest śmierć dusz?

— Nie. Lecz po upływie stu lat duchy nie są już z nami. Niektórzy mówią, że wcielają się powtórnie; inni dowodzą, że stają się „Kami”, i czczą ich jako Kami, składając im w pewne określone dni ofiary w „toko”^{*)}.

Taki był, jak wiedziałem, powszechny wykład tego zagadnienia; lecz słyszałem o wierzeniach zupełnie odmiennych. Istnieje podanie, że w rodzinach wyjątkowo cnotliwych dusze przodków materjalizują się i pozostają w stanie widzialnym przez setki lat. Pielgrzym Sengadzi^{**)}, który żył w dawnych czasach, pozostawił opis dwóch takich duchów, które był widział w odległej, wewnętrznej części

^{*)} Kami—bóstwo; toko—alkowa, mieszcząca się w tym samym pokoju, w którym jest „kamidana” czyli „Półka Bogów”, na której zwykle stoi mały ołtarzyk wyznania Szinto. (Przyp. tłum.)

^{**)} Pielgrzym Sengadzi odbywa pielgrzymki do tysiąca słynnych świątyń sekty Nicziren; podróż taka trwa przez wiele lat. (Przyp. autora).

kraju. Były one bardzo małe, niewyraźnego kształtu, „ciemne, jak stary bronz”. Nie mogły mówić, lecz wydawały jakieś jęgliwe dźwięki, nie jadły, lecz wdychały ciepłą parę, unoszącą się z pokarmów, które codzień stawiano przed nimi. Potomkowie ich twierdzili, że duchy te z każdym rokiem stawały się coraz to mniejsze i coraz mniej wyraźne.

— Czy nasze uczucie miłości dla umarłych wy-daje się wam dziwne?—spytał Asakiczi.

— Nie—odrzekłem.—Myślę, że jest ono piękne. Lecz na mnie, obcego przybysza z Zachodu, oby-czaje te sprawiają wrażenie czegoś niewspółczesne-go, czegoś, co przypomina raczej świat starożytny. Zapłatywaną Greków starożytnych na umarłych były trochę podobne do zapłatywań współczesnych Japończyków. Uczucia żołnierza ateńskiego w cza-sach Peryklesa były zapewne takie same, jakie ma-cie wy w erze Meidzi. Czytaliście przecie, będąc w szkole, jak Grecy składali ofiary umarłym i czcili duchy ludzi mężnych i patriotów?

— Owszem. Niektóre z ich obyczajów są bar-dzo podobne do naszych. Ci z nas, którzy polegną na polu bitwy przeciwko Chinom, będą też ubó-stwiani. Będą ich czcić, jako „Kami”. Nawet nasz cesarz odda im należne zaszczyty.

— Ale umrzeć tak daleko od moich swych ojców w obcym kraju—to nawet ludziom z Zachodu wy-dawałoby się ciężkiem.

— Och, nie! Dla uczczenia pamięci zmarłych będą wzniesione pomniki w ich rodzinnych wio-skach i miastach i, ciała żołnierzy będą spalone, a popioły ich przywiozą zpowrotem do Japonji. W każ-dym razie zrobią to we wszystkich tych wypadkach, w których to będzie możliwe. Po wielkiej wojnie może będzie zbyt trudno.

— A czy do duchów żołnierzy, którzy padną w tej wojnie, ludzie będą się zawsze modlili z prośbą o pomoc w chwilach niebezpieczeństwa narodowego?

— O tak, zawsze! My będziemy kochani i czczeni przez cały naród.

Powiedział „my” całkiem naturalnie, jak ktoś, co jest już skazany. Po krótkiej chwili mówił dalej:

— Ostatniego roku, kiedy byłem w szkole, urządzono wycieczkę wojskową. Poszliśmy do świątyni, znajdującej się w obwodzie Iu, w której oddają cześć duchom bohaterów. Jest to bardzo ładna, bezludna miejscowość pomiędzy wzgórzami,—i świątynia stoi w cieniu bardzo wysokich drzew. Jest tam cisza, chłód i mrok. Ustawiliśmy się w szyku bojowym przed ołtarzem—wszyscy milczeli. Naraz w świętym gaju rozległ się dźwięk rogu, niby wezwanie do bitwy; sprezentowaliśmy broń. Czułem, że w oczach mam łzy — sam nie wiem, dlaczego. Spojrzałem na swych towarzyszy i zobaczyłem, że oni czują to samo, co i ja. Może być, że ty, jako cudzoziemiec, nie rozumiesz tego. Ale jest mały wiersz, który umie każdy Japończyk. Napisał go przed wielu laty wielki kapłan Saigjo Hoszi, który był najpierw rycerzem, a potem dopiero został kapłanem — jego właściwe imię było Sato. Norikjo:

„Nani go to no
Owaszimasu ka wa
Szirane domo
Arigata sa ni zo
Namida kobururu.”*)

*) „Jaka jest tego przyczyna, nie mogę powiedzieć. Lecz ile razy znajduję się w pobliżu ołtarza,—płyną mi łzy wdzięczności.”

Wyznanie takie słyszałem nie pierwszy raz. Niejeden z moich uczniów mówił mi o wzruszeniu, jakie wywoływały w nich święte tradycje i mroczna powaga starożytnych ołtarzy. Uczucie Asakiczi nie było bardziej indywidualne, niż drganie pojedynczej fali w bezbrzeżnym oceanie. Chłopak wypowiedział tylko uczucie swej rasy — niewysłowioną, lecz potężną emocję Szinto.

Rozmawialiśmy w dalszym ciągu, dopóki nie zapadł łagodny zmierzch letni. Migotały gwiazdy i światła elektryczne na zamku; dźwięczały trąbki, a z twierdzy Kijomasa płynął w noc głęboki głos, podobny do huku grzmotu—był to śpiew tysiąca ludzi:

„Niszi mo higaszi mo
Mina teki zo,
Minami mo kita mo
Mina teki zo.

Jose—kura teki wa
Sziranuhi no
Tsukuszi no hate no
Satsume gata.“*)

— Uczyłeś się tej pieśni, nieprawdaż? — spytałem.

— O tak!—odpowiedział Asakiczi.—Każdy żołnierz ją umie.

Była to pieśń Kumamoto Rodžo, pieśń Twierdzy.

*) Na północy i na południu —
Wszędzie pełno wrogów,
Na zachodzie i na wschodzie —
Wszędzie pełno wrogów.
Nikt nie może powiedzieć liczby
Wojsk, które przychodzą
Od wybrzeża w Satsuma
I od brzegu morza w Tsukuszi

Słuchaliśmy i nawet mogliśmy pochwycić oddzielne słowa w tym potężnym chórze dźwięków:

„Tenczi mo kuzuru
Bakari nari,
Tenczi wa kuzuru
Jama kawa wa
Sukuru tamesi no
Araba tote,
Ugokanu mono wa
Kimi ga mi jo.“*)

Przez krótką chwilę Asakiczi słuchał w milczeniu, kołysząc ramionami w takt tej silnej pieśni; poczem, jakby zbudzony nagle, roześmiał się i rzekł:

— Nauczycielu, muszę już iść. Nie umiem ci podziękować ani wypowiedzieć, jak radosny był dla mnie dzień dzisiejszy. Lecz—wyjął z kieszeni małą kopertę—proszę, przyjmij to. Prosiłeś mnie dawno już o fotografię; przyniosłem ją ci, jako *souvenir*.

Wstał, przypiął swój miecz. Przy drzwiach wejściowych uściśnął mu dłoń.

— A co mam ci przysłać, nauczycielu, z Korei?
— spytał.

— Tylko list—odrzekłem.—Po pierwszej wielkiej wygranej.

— Przysłę napewno, o ile tylko będę mógł wlaść piórem—odrzekł.

Poczem wyprostował się tak, że wyglądał jak

*) Cóż z tego, że Ziemia się rozpadnie?
Cóż z tego, że Niebo runie?
Cóż z tego, że góry zmieszają się z morzem?
Wszystkie serca mężne
Wiedzą, że jedno się ostanie
I nie ulegnie zniszczeniu—
Wiecznotrwale, święte i czyste—
To Państwo Cesarskie.

posąg z brązu, zasalutował po wojskowemu i odszedł w ciemność.

Ja zaś wróciłem do pustej izby gościnnej i zacząłem marzyć. Słyszałem gromki odgłos śpiewu żołnierskiego. Słyszałem huk pociągów, które unosiły tyle młodych serc, tyle bezgranicznej lojalności, tyle wspaniałej wiary i miłości—unosily ku opalanym przez febrę polom ryżowym w Chinach, w objęcia zbierających się cyklonów śmierci...

III

Wieczorem tego dnia, w którym ujrzeliśmy imię Kozuga Asakiczi na długiej liście, ogłoszonej przez gazetę miejscową, Manjemon udekorował i oświetlił alkowę w gościnnym pokoju tak, jak to czynił zwykle na wielkie dni uroczyste. Nappełnił wazony kwiatami, zapalił kilka małych lampek i pałeczek kadzidła w filiżankach z brązu. Gdy wszystko było już gotowe, zawołał mnie do izby. Podszedłszy do alkowy, zobaczyłem w niej fotografię chłopaka; przed nią stała mała uczta, składająca się z ryżu, owoców i ciastek — była to ofiara staruszka.

— Może—odezwał się Manjemon—duchowi jego będzie przyjemnie, jeżeli pan łaskawie zechce z nim porozmawiać. On zrozumie pańską angielszczyznę.

• Mówilem więc... Portret zdawał się uśmiechać do mnie poprzez kłęby dymu z kadzidła. Lecz to, co mówiłem, było przeznaczone tylko dla niego i dla bogów.

(Out of the East)

JUKO

Wspomnienie*)

(Meidži, XXIV, 5 maja 1891 r.)

„Tenszi-Sama go-szimpai”—Syn Nieba martwi się. W mieście panuje dziwna cisza i taki uroczysty nastrój, jaki bywa tylko podczas żałoby powszechnej. Nawet handlarze wędrowni krzyczą na ulicach mniej donośnie, niż zwykle. Teatry, tak zawsze przepełnione od wczesnego ranka aż do późnej nocy, teraz są zamknięte. Zamknięte są również wszystkie inne miejsca rozrywek, wszystkie widowiska, — nawet wystawy kwiatów. Zamknięte są wszystkie sale publiczne. Nie słychać brzęku „samisen”**) w dzielnicach, zamieszkałych przez gejsze. W wielkich hotelach nikt nie tańczy; goście rozmawiają ze sobą przyciszonym głosem. Na twarzach przechodniów ulicznych nie widać zwykłego uśmiechu, wielkie zaś plakaty zawiadamiają, że wszelkie ucztę i zebrania publiczne mają być zawieszone na czas nieokreślony.

Taki powszechny smutek może mieć miejsce tylko z powodu jakiejś wielkiej katastrofy lub klęski

*) Za temat do tego opowiadania posłużył prawdziwy wypadek, który miał miejsce po ogłoszeniu przez mikado żału i ubolewania z powodu zamachu na jego gościa, następcę tronu rosyjskiego, późniejszego Mikołaja II

**) Samisen—instrument muzyczny; rodzaj gitary o trzech strunach.

narodowej: trzęsienia ziemi, zniszczenia stolicy, wypowiedzenia wojny. A jednak tym razem nie stało się nic podobnego,—przyszła tylko wiadomość, że cesarz martwi się,—i we wszystkich miastach w całym kraju zapanowała żałoba dla okazania, że cały naród dzieli smutek ze swym władcą.

Wkrótce zaś po tym wyrazie ogromnego współczucia, przyszła powszechna chęć naprawienia zła, wynagrodzenia, o ile możliwości, dokonanej krzywdy. Czyny, w jakich się to pragnienie ujawniało na zewnątrz, były najrozmaitsze — większość z nich szła wprost z serca i wzruszała swą prostotą. Prawie wszyscy posyłali zewsząd gościowi cesarskiemu depesze, i listy kondolencyjne, i najprzeróżniejsze podarki. Bogaci i biedni wyzbywali się swych najcenniejszych rzeczy, by złożyć je w ofierze dla rannego cesarzewicza rosyjskiego. Układano również niezliczone adresy do cara Aleksandra III. Wszystko to robili ludzie prywatni i bezwzględnie z dobrej woli. Jakiś stary kupiec przyszedł do mnie z prośbą, bym mu ułożył depeszę po francusku, mającą wyrażać głęboki smutek wszystkich obywateli z powodu zamachu na cesarzewicza. Depesza ta miała być posłana do cesarza Wszechrosji. Starłem się zrobić, co mogłem, nadmienając jednocześnie, że nie mam najmniejszej wprawy w układaniu depesz do tak możnych i potężnych osób.

— Och, to nie ma najmniejszego znaczenia — odpowiedział kupiec — my ją pošlemy do naszego ambasadora w Petersburgu i ten poprawi wszystkie błędy. Spytałem go, czy zdaje sobie sprawę, ile taka depesza może kosztować. Okazało się, że obliczył i wiedział, że cena wyniesie przeszło sto jen, co było stanowczo bardzo wielką sumą dla drobnego kupca z Matsue.

Jakiś ponury, stary samuraj dał wyraz swym uczuciom, które w nim ten wypadek wywołał, w mniej łagodny sposób. Wysoki urzędnik, któremu była powierzona opieka nad cesarzewiczem w Otsu, otrzymał przez specjalnego posłańca piękny miecz i srogi list, w którym mu zalecano, by dał dowód swego męstwa i żalu i postąpił tak, jak przystało na samuraja, a mianowicie: zrobił sobie natychmiast „harakiri”.

Bo naród japoński, jak i jego bogowie Szinto, ma rozmaite dusze: i Nigimi-tama, i Ara-mi-tama—łagodnego Ducha i okrutnego Ducha. Duch łagodny—pragnie tylko naprawy błędu, Duch srogi—żąda odkupienia. I nawet obecnie, gdy bezpośredniość tych wierzeń ludowych już zamiera, wszędzie daje się zauważyć osobliwe współdziałanie tych dwóch czynników, tak wzajemnie sobie przeciwnych, jak dwa bieguny elektryczności.

W odległej miejscowości Kanagawa, w domu pewnej zamożnej rodziny była służąca, młoda dziewczyna, imieniem Juko. „Juko”—znaczy mężny, i przed laty nazwisko to należało do samurajów.

Czterdzieści milionów ludzi martwi się, a Juko martwi się więcej, niż wszyscy. Jak i dlaczego?—tego żaden człowiek Zachodu nie jest w stanie dokładnie pojąć. W duszy Juko są bowiem takie uczucia i takie impulsy, których my możemy się tylko domyślać i to bardzo niewyraźnie. Wiemy cośnecóż o duszy dobrej japońskiej dziewczyny. Jest w niej miłość, — miłość w możliwości, bardzo głęboka i spokojna. Jest również niewinność bez skazy — taka, jakiej symbolem w buddyzmie jest kwiat lotosu. Jest czułość, tak delikatna, jak śnieg wiosennych kwiatów na drzewach śliwko-

wych. Jest piękna pogarda śmierci, oddziedziczona po przodkach-samurajach i ukryta pod łagodnością, miękką, jak muzyka. Jest wiara, prawdziwa i bardzo naiwna, idąca wprost z serca, wiara, że Budda i bogowie są dobrymi przyjaciółmi, których można prosić o wszystko, o co tylko pozwala prosić japońskie dobre wychowanie. Lecz nad tem wszystkim góruje jedno uczucie, którego nie można wyrazić w żadnym języku zachodu — coś, czego nie można określić martwem słowem „lojalność”, coś, co jest bardziej pokrewne z tem, co my nazywamy mistyczną egzaltacją. Uczucie najgłębszego szacunku i uwielbienia do Tenszi-Sama. Uczucie to nie jest indywidualne. Uczucie to jest potęgą moralną i nieśmiertelną wolą, przekazaną Japończykom przez całe pokolenia przodków, ciągnących się wstecz od niej, w noc dawno zapomnianych czasów. Istota tej egzaltacji jest tylko siedzibą duchów, nawiedzaną przez wizje przeszłości, zupełnie odmiennej od naszej, — przeszłości, w ciągu której przez niezliczone setki lat wszyscy żyli, czuli i myśleli, jak jeden człowiek, i w taki sposób, w jaki my nie czyniliśmy tego nigdy.

„Tenszi-Sama go-szimpai...” W sercu dziewczyny na tę wieść zbudziło się natychmiast gorące pragnienie, by coś złożyć na ofiarę. Pragnienie silne, choć, zdawałoby się, zupełnie beznadziejne, ponieważ nie posiadała ona nic z wyjątkiem drobnych oszczędności, jakie uciulała z zarobków miesięcznych. A jednak pragnienie to trwało i nie dawało jej spokoju. W nocy leżała, i rozmyślała, i zadawała sobie pytania, na które odpowiadali za nią umarli. — „Co ja mogę ofiarować, żeby cesarz przestał się martwić?” — „Siebie samą” — odpowie-

działy głosy bez dźwięku. — „Ale czy mogę?” — spytała z niedowierzaniem. — „Rodzice twoi nie żyją i nie do ciebie należy również składanie ofiar. Bądź więc naszą ofiarą. Oddać życie za cesarza — jest najwyższym obowiązkiem i największą radością”. — „Gdzie?” — spytała Juko. — W „Saikjo”) — odpowiedziały ciche głosy — w bramie tych, którzy, zgodnie z dawnym obyczajem, powinni byliby umrzeć.”

Juko wstała o świcie. Załatwiwszy wszystkie swe ranne czynności, poprosiła o pozwolenie odejścia. Pozwolenie to otrzymała. Następnie włożyła na siebie najpiękniejszą swą suknię, najbardziej jaskrawy pas i najbielsze „tabi”**) — bo, oddając swe życie za Tenszi-Sama, chciała wyglądać jak najlepiej. Po upływie godziny była już w pociągu, idącym do Kjoto, i patrzyła przez okno na uciekający krajobraz. Dzień był łagodny i przyjemnie było patrzeć w błękitną dal na senne opary wiosenne. Juko widziała piękność krajobrazu tak, jak go widzieli jej ojcowie i jak nie jest w stanie widzieć oko żadnego Europejczyka, kiedy ten ogląda sam ów krajobraz, nie zaś jego reprodukcję w starych książkach japońskich. Juko czuła radość życia, ale nie marzyła o tem, jaką wartość mogłoby ono mieć dla niej w przyszłości. Nie martwiła jej myśl, że po jej śmierci świat będzie również piękny, jak teraz. W duszy jej nie było melancholji buddyjskiej; oddała się zupełnie bogom starożytnym, którzy uśmiechali się do niej z mroku świę-

*) Saikjo — dosłownie „stolica zachodnia”; tak nazywa się miasto Kjoto.

**) Tabi — pończochy japońskie, krótkie, z jednym palcem, zrobione z materjału.

tych gajów, ze swych odwiecznych ołtarzy na uciekających wstecz pagórkach. A jeden z tych bogów może nawet był z nią: ten, którego lud nazywa Szinigami, który jest panem „pragnienia śmierci” i który czyni mogiłę bardziej ponętną, ponętniejszą od pałaców dla tych, co nie znają strachu. Przyszłość nie wydawała się jej ciemną. Zawsze będzie widziała blask wschodzącego słońca na szczytach górskich, uśmiech księżyca na wodach, wieczny cud zmieniających się pór roku. Przez niezliczoną ilość powtarzających się lat będzie odwiedzała piękne miejsca, unosząc się nad powstającymi oparami i kryjąc w cieniu drzew cedrowych. Będzie żyła życiem nieuchwytnym w słabym podmuchu wiatru, poruszającego śnieżno-białe kwiaty na wiśniach, w śmiechu igrającej wody, w każdym szczęśliwym szepcie wielkiej, zielonej ciszy. Lecz przedewszystkiem powita swych przodków, którzy gdzieś w cienistych komnatach nieskończoności czekają na nią, by jej powiedzieć: — „Uczyliś dobrze, jak przysłało na córkę samurajów. Wejdz, dziecko, bo dzięki tobie zasiądziemy dziś do wieczerzy razem z bogami.”

Był już dzień, gdy dziewczyna przybyła do Kjoto. Znalazła sobie mieszkanie i poszła szukać dobrej fryzjerki.

— „Proszę to naostrzyć bardzo dobrze — rzekła, podając kamijui*) małą brzytwę (nieodzowny przedmiot w toalecie damskiej), — a ja zaczekam tu, aż będzie gotowe.

Rozwinęła świeżo kupioną gazetę i zaczęła szukać najnowszych wiadomości ze stolicy. Obecni w sklepiu ludzie przyglądali się jej z zacięka-

*) Kamijui — fryzjerka.

wieniem i podziwiali jej poważny, wyłączający wszelką poufałość, sposób zachowania się. Twarz jej była spokojna, jak twarz dziecka, lecz w sercu odezwały się znowu niepokojące głosy widm, gdy przeczytała o smutku cesarza.

„...Ja również chciałabym, żeby już nadeszła ta godzina — odpowiedziała w myśli — lecz musimy czekać.

Wkońcu otrzymała małe ostrze w najzupełniejszym porządku, zapłaciła żadaną drobną sumę i wróciła do zajazdu.

Tu napisała dwa listy: jeden — z pożegnaniem do swego brata i drugi — z wezwaniem do wysokich urzędników w Mieście Cesarzów, prosząc ich o przedstawienie Tenszi-Sama, że nie powinien się już więcej martwić, bo młoda, choć i niegodna istota dobrowolnie oddała swe życie dla odkupienia wyrządzonego zła.

Juko wyszła powtórnie o najciemniejszej godzinie, która zwykle poprzedza świt. Cisza była, jak na cmentarzu. Nieliczne latarnie paliły się słabym płomieniem. Dziwnie głośno stukwały jej „geta“*). I nikt oprócz gwiazd nie widział, jak szła ulicami miasta.

Po chwili znalazła się pod głęboką bramą budynku rządowego. Wślizgnęła się w cień, odmówiła szeptem pacierze i uklękła. Potem — zgodnie z dawnym obyczajem — zdjęła z siebie długi pas z mocnego, miękkiego jedwabiu i związała nim mocno swe ubranie, robiąc węzeł pod samymi kolanami. Bo niezależnie od tego, co może się stać w ostatniej chwili agonji, zwłoki córki samurajów muszą być znalezione we właściwej pozycji. Następnie spokojnie i dokładnie przecięła sobie

*) Geta — obuwie japońskie, rodzaj drewnianych sandałów.

gardło. Krew trysnęła z rany potokiem. Córka samurajów nie myli się w tych sprawach,—wie ona dobrze w jakim miejscu są weny i arterje.

O wschodzie słońca znaleziono Juko zupełnie zimną. Policja zabrała zwłoki, oba listy i nędzną, małą portmonetkę, w której było pięć jen i trochę sen,—co stanowiło sumę dostateczną, jak myślała, na jej pogrzeb.

Wiadomość o tym wypadku rozeszła się lotem błyskawicy do setek miast.

Otrzymały ją wielkie gazety w stolicy, i cyniczni dziennikarze starali się odkryć jakąś zwykłą przyczynę tego poświęcenia: utajona hańba, zmartwienie rodzinne, nieszczęśliwa miłość. Nie!—w jej skromnem życiu nie było nic tajemniczego, nic brzydkiego, nic niewłaściwego. Nierozwinięty kwiat lotosu był mniej niewinny od Juko. Więc cynicy pisali o niej tylko dobrze, tak, jak należy pisać o córce samurajów.

Syn Nieba też usłyszał i dowiedział się o tem, jak go kocha jego naród.

Usłyszeli ministrowie i mówili do siebie szep-tem w cieniu tronu:—„Wszystko inne się zmieni, ale nie zmieni się serce narodu”.

Pomimo to z wyższych względów racji stanu państwo udawało, że o niczem nie wie.

SZINDZU

Czasami obejmują się poprostu ramionami i kładą się razem na żelazne szyny pod nadchodzący pociąg pośpieszny. (W Izumo jednak nie można tego zrobić, bo tymczasem niema tu jeszcze kolei.) Czasami urządzają małą ucztę, piszą dziwne listy do rodziców i przyjaciół, dokładają coś gorzkiego do wina z ryżu i zasypiają na zawsze. Czasami wybierają bardziej starożytny i bardziej honorowy sposób: kochanek jednym uderzeniem miecza zabija swą umiłowaną, poczem sam przecina sobie gardło. Czasami związują się mocno, twarzą do twarzy, pasem dziewczyny z krepowego jedwabiu (koszi-obi), i tak objęci, rzucają się do głębokiego jeziora lub rzeki.

Różne są sposoby, w jakie ludzie odchodzą do Meido, jeżeli dręczy ich ten stary, jak świat, smutek, o którym mówi Schopenhauer w swej przedziwnej teorii.

Ich własna teoria jest znacznie prostsza.

Nikt nie kocha życia więcej, niż je kochają Japończycy; nikt mniej od nich nie lęka się śmierci. Nie lękają się oni tamtego świata; z żalem opuszczają ten jedynie dlatego, że wydaje się on im pełnym piękna i szczęścia; lecz tajemnica przyszłego życia, ciężąca nad umysłem ludzi Zachodu,

mało ich niepokoi. Co się zaś tyczy młodych kochanków, których mam na myśli, to posiadają oni dziwną wiarę, która usuwa przed nimi tajemnice. Patrzą oni w ciemność z bezwzględną ufnością. Jeżeli są zbyt nieszczęśliwi, żeby żyć, nie jest to z winy innych ludzi lub z winy świata, lecz jedynie z ich własnej; jest to „innen”—skutek błędów, popełnionych w poprzednim życiu. Jeżeli nie mogą mieć nadziei na połączenie się na tym świecie—oznacza to tylko, że w którymś z poprzednich istnień złamali obietnicę pobrania się lub w jakiś inny sposób byli okrutni względem siebie. Wszystko to nie jest jeszcze nieprawowierne. Lecz ludzie ci wierzą, że jeżeli umrą razem, to będą mogli natychmiast się połączyć na tamtym świecie, chociaż buddyzm naucza, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym. Przekonanie, że przez śmierć można osiągnąć połączenie się, jest bez porównania starsze, niż wiara Szaki*); lecz w nowszych czasach idea ta pod wpływem buddyzmu nabrała specjalnego odcienia ekstazy i żaru mistycznego. *Hasu no bana no ue ni oite matan*; „Na kwiecie lotosu w raju będą spoczywali razem”. Buddyzm uczy o niezliczonych wędrówkach duszy, trwających miliony milionów lat, zanim zdoła ona osiągnąć „Doskonałość Poznania”, „Nieograniczoną Pamięć” i rozplynie się w błogości Nehanu (nirwany) tak, jak biała chmura rozplywa się w błękiecie letniego dnia. Lecz ci cierpiący ludzie nie myślą o Nehanie; im się zdaje, że połączenie w miłości—to ich największe pragnienie—może być osiągnięte przez mękę wspólnej śmierci. Nie wszyscy jednak—jak to widać z ich listów—wyobrażają

*) Szaka—Budda (po indyjsku Sakya-Muni, prorok z ziem Sakyów.)

sobie te rzeczy w ten sam sposób. Niektórzy myślą, że wejdą do raju światła Amida*); niektórzy mają nadzieję tylko na Saki-no-yo — przyszłe powtórne narodziny, po których kochankowie spotykają się znowu, szczęśliwi i młodzi; rojenia innych — i takich jest najwięcej — są znacznie mniej wyraźne — coś, jakby unoszenie się cieniów poprzez mglistą ciszę w nieuchwytnym szczęściu snów.

Samobójcy zawsze proszą, aby ich złożono w jednym grobie. Rodzice lub opiekunowie niezawsze spełniają tę prośbę, i ludzie uważają to za czyn okrutny; jest bowiem przekonanie, że ci, którzy umarli z miłości do siebie, nie mogą zaznać spokoju, jeżeli nie będą mieli wspólnej mogiły. W tych wypadkach, kiedy prośba zmarłych bywa uwzględniona, ceremonia pogrzebu jest ładna i wzruszająca. Przy świetle latarni z obu domów wychodzą procesje pogrzebowe, które spotkać się mają na dziedzińcu świątyni. Tu po odmówieniu Kyo i dokonaniu zwykłych obrzędów główny kapłan przemawia do dusz zmarłych. Ze współczuciem mówi o błędzie i grzechu, o młodości ofiar, wczesnej a pięknej, jak kwiecie, które zakwita i spada za pierwszym podmuchem wiosny. Mówi o Złudzeniu — Mayoi — które ich opanowało, przytacza przestrogę Nauczyciela. Lecz czasami przepowiada przyszłe połączenie kochanków w jakimś szczęśliwszem, doskonalszem istnieniu, dając wyraz tęsknocie serca ludu w słowach prostych, od których wszyscy słuchacze płaczą. Następnie obie procesje łączą się w jedną, która idzie na cmentarz, gdzie czeka już przygotowany dół mogilny. Obie trumny spuszcza ją razem tak, żeby stanąwszy na dnie dołu, dotykały się wzajem bokami. Wówczas ludzie „jama-

*) Amida—Budda.

no-mono"*) wyjmują deski, oddzielające kochanków, i robią z dwóch trumien jedną; na złączonych zmarłych sypią ziemię; na grobie stawiają „haka"**), na którym rzeźbionymi literami wypisana jest zwykle historia ich losu, a czasami jakiś krótki wiersz.

II

Takie samobójstwa z miłości nazywają się „dżoši" albo „szindżu" (oba słowa piszą się tym samym znakiem chińskim), co oznacza „śmierć z serca", „śmierć z namiętności" lub „śmierć z miłości". Wśród kobiet samobójstwa tego rodzaju zdarzają się najczęściej w klasie „dżoro"***), choć niekiedy popełniają je i młode dziewczyny ze sfer wyższych. Powszechnem jest przekonanie, że jeżeli wśród mieszanek „dżoroja" zdarzy się jedno szindżu, to niezwłocznie po niem muszą nastąpić jeszcze dwa inne. Bardzo być może, że właśnie dzięki temu przesądowi jeden wypadek szindżu rzeczywiście najczęściej pociąga za sobą dwa następne.

Biedne dziewczęta, które dla ocalenia swych rodzin sprzedają się i skazują na hańbę, nigdy nie dochodzą w Japonii do takiego upadku moralnego, jaki jest udziałem ich sióstr w Europie. (Wyjątek stanowią miasta portowe, t. zw. „otwarte porty", w których jest silny demoralizujący wpływ europejskiego występku i brutalności europejskiej.) Dziewczyny-Japonki, należące do tej klasy kobiet,

*) Jama-no-mono—„ludzie gór", nazywani tak dlatego, że mieszkania ich znajdują się na wzgórzach nad Tokodźi. Jest to klasa parjasów, trudniąca się myciem zmarłych i kopaniem grobów.

**) Haka — nagrobek.

***) Dżoro — kurtyzana.

często przez całe swe okropne życie zachowują przyzwoite maniery, delikatność uczucia i pewną naturalną skromność, co wobec ich warunków życia jest zarówno dziwne, jak i wzruszające.

Wczorajszy wypadek „szindzu” poruszył nasze ciche miasto. Służąca doktora, zamieszkałego przy ulicy, zwanej Nadamaczi, wszedłszy rano do pokoju syna pana domu, znalazła go nieżywego; w objęciach jego leżała również martwa dziewczyna. Syn był wydziedziczony, a dziewczyna była „dżoro”. Wczoraj wieczorem pochowano ich, ale nie razem; bo ojciec chłopca był nie tylko zmarły, ale i rozgniewany, że mogło się stać coś podobnego. Na imię jej było Kane. Była wyjątkowo ładna i bardzo miła, i mówiono, że właściciel jej traktował ją z dobrocią, niezwykłą u ludzi tej hańbiącej profesji. Sprzedała się dla swej matki i malutkiej siostrzyczki. Ojciec umarł, i rodzina straciła wszystko. Kane miała wówczas lat siedemnaście. Niespełna w rok po wstąpieniu do zakładu spotkała młodego chłopca, i oboje zakochali się w sobie odrazu. Nie mogło ich spotkać nic bardziej okropnego, bo nie mogli mieć najmniejszej nadziei na zawarcie związku małżeńskiego. Chłopiec, choć korzystał jeszcze tymczasem z przywilejów syna, był wydziedziczony na korzyść swego adoptowanego brata, który miał bardziej stateczny charakter. Nieszczęśliwi kochankowie wydawali wszystko, co tylko mieli, żeby się móc widywać. Kane sprzedała w tym celu nawet swoje suknie. Wreszcie ostatni raz spotkali się pokryjому, późno w nocy, w domu doktora, wypili truciznę i zasnęli na wieki.

Widziałem procesję pogrzebową dziewczyny; posuwała się w świetle latarni papierowych, — światła bladym i martwym, jak blask fosforescencji, —

w kierunku ulicy Świątyn. Szły za nią kobiety w białych kapturach, białych pasach, białych sukniach, szły cicho, jakby jakieś zastępy duchów.

Tak na obrazach, przedstawiających marzenia buddyjskie o życiu pozagrobowym, przelatują przez ciemność Meido białe cienie w wiecznej procesji dusz.

III

Jeden z mych przyjaciół, współpracownik gazety „San-in-Szimbun”, który ma zamiar wydrukować jutro tę smutną historję, powiedział mi, że liściowi ludzie udekorowali już obie mogiły kwiatami i gałązkami „sikimi”^{*)}). Następnie wyjął z koperty długi, lekki, cienki zwój papieru, zapisany pięknem pismem japońskim, i rozwijając go przede mną, rzekł:

— Kane zostawiła list do właściciela zakładu, w którym była. Dostaliśmy go dla opublikowania. List ten jest bardzo ładny, ale, niestety, nie mogę przetłumaczyć go dokładnie, bo zmarła napisała go w języku kobiet. Język, którego używają w listach kobiety, nie jest taki sam, jak język w listach mężczyzn. Kobietom są właściwe specjalne słowa i zwroty. Naprzykład, w języku mężczyzn „ja” — jest *watakuszi* albo *ware*, albo *jo*, albo *joku*, zależnie od stanowiska piszącego i od okoliczności, lecz w języku kobiet „ja” jest *warawa*. Zwroty kobiet są bardzo miękkie i delikatne, i zdaje mi się, że tego wyrazu miękkości i uprzejmości nie można przetłumaczyć na żaden inny język. Mogę więc dać tylko niedokładne wyobrażenie o tym liście.

I zaczął zwolna czytać co następuje:

^{*)} Illicium religiosum.

„Zostawiam ten list.

„Jak pan wie, od zeszłej wiosny kocham Taszi-ro-Šan, on zaś kocha mnie również. Lecz teraz, niestety, ujawniły się skutki naszego stosunku w jakimś przeszłym życiu, w którym złamaliśmy, widocznie, dane sobie przyrzeczenie związków ślubnych, i dlatego dziś jeszcze muszę odjechać do Meido.

„Był pan dobry nie tylko dla mnie, — chociaż byłam głupia i bez żadnego wpływu*), — lecz ze względu na moją niegodną osobę pomagał pan w rozmaity sposób mojej matce i mojej siostrze. Ponieważ nie byłam w stanie zwrócić ani jednej miljonowej części tej dobroci i łaski, jaką mnie pan obdarzał, — łaski wielkiej, jak góry i morze**), — nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby czuł pan do mnie nienawiść, jako do wielkiej winowajczyni.

„Lecz — chociaż nie wątpię, że to, co chcę uczynić, wyda się złem szaleństwem, — okoliczności i serce moje zmuszają mnie do tego czynu. Proszę więc tylko pana, aby wybaczył mi moje poprzednie błędy. I chociaż idę do Meido, nie zapomnę nigdy miłosierdzia pańskiego względem mnie, — miłosierdzia wielkiego, jak góry i morze. Z pod cienia traw***) będę się starała wynagrodzić pana, — przelać mu wdzięczność panu i jego rodzinie. Jeszcze raz proszę z całego serca: niech się pan nie gniewa na mnie.

„Chciałabym napisać jeszcze dużo rzeczy. Lecz w tej chwili serce moje nie jest moim sercem; i muszę iść prędko, więc odkładam mój pendzelek do pisania.

„List ten jest napisany bardzo niezdarnie.

*) Dosłownie — „bez cienia“ lub „pozbawiona cienia“.

**) Umi-jama-no-on.

***) Kusaba-no-kagé.

„Kane trzykrotnie schyla się w ukłonie przed panem.

Od Kane.”

„Do Sama”.

— Jest to bardzo charakterystyczny list przed „szindzu”—zauważył po chwili milczenia mój przyjaciel, wkładając delikatny, biały papier do koperty.—Myslałem więc, że może pana zainteresować. A teraz, choć już zaczyna się ściemniać, idę na cmentarz, żeby zobaczyć, co zrobiono na mogile. Chce pan pójść razem ze mną?

Poszliśmy przez długi, biały most, przez cieniastą ulicę Świątyń w kierunku starożytnego „hakoba-Miokodzi”). Robiło się coraz ciemniej. Nad dachami wielkich świątyń srebrzył się wąski sierpk księżyca.

Naraz jakiś daleki, dźwięczny i słodki głos śpiewającego mężczyzny przerwał ciszę gwiazdzystej nocy—w śpiewie tym był dziwny czar, coś, co sprawiało wrażenie szczeciotu.

Jakiś szczęśliwy robotnik, wracający do domu. Mroźne powietrze było tak czyste, że do uszu naszych dochodziła każda sylaba, lecz nie mogłem zrozumieć słów:

„Saité juké toja, ano ja wo saité;
Juké ba czykajoru nuszi no soba”.

— Co to znaczy?—spytałem mego przyjaciela. Ten zaś odrzekł:

— To jest pieśń miłości: „Idź naprzód, prosto naprzód po tej drodze, do tego domu, który widzisz przed sobą;—im bliżej doń podejdziesz, tem bliżej do niej**) będziesz”.

(Glimpses of Unfamiliar Japan)

*) Hakoba—cmentarz. (Przyp. autora).

**) Albo do „niego.” Można tłumaczyć dowolnie, bo słowo „nuszi” oznacza tylko właściciela domu. (Przyp. autora.)

ZWIERCIADŁO DZIEWICZE

W czasach Aszikaga Szogunate ołtarz Ogawaczi Miodżin w Minami-Ize doszedł do stanu zupełnego upadku. Daimjo tego dystryktu, pan Kitahataké, z powodu wojny i innych okoliczności nie był w stanie dostarczyć środków na odnowienie budynku. Wówczas kapłan wyznania Szinto, Matsumura Hjo-go, zwrócił się z prośbą o pomoc do wielkiego daimja Hosokawa, o którym mówiono, że ma wielkie wpływy u szoguna*). Pan Hosokawa przyjął kapłana bardzo życzliwie i przyrzekł powiedzieć szogunowi o stanie, w jakim się znajduje Ogawaczi-Miodżin. Nadmieniał jednak, że zgody na odbudowę świątyni nie można będzie uzyskać, zanim sprawa nie zostanie zbadana, co pociągnie za sobą pewną zwłokę w czasie; radził też Matsumurze, by pozostał tymczasem w stolicy. Wobec tego Matsumura sprowadził swą rodzinę do Kjoto i wynajął dom w starej części miasta, zwanej Kjogoku.

Dom ten, chociaż ładny i bardzo obszerny, od dłuższego już czasu był niezamieszkały. Mówiono o nim, że jest to dom, co przynosi nieszczęście. W północno-wschodniej części tego domu znajdowała się studnia, i kilku poprzednich mieszkańców utonąło w niej z niewiadomych zupełnie przyczyn.

*) Szogun — namiestnik cesarza, regent. Daimjo — rodzaj gubernatora, wojewody.

Lecz Matsumura, jako kapłan Szinto, nie bał się złych duchów i po upływie krótkiego przeciągu czasu urządził się w swym nowym domu bardzo wygodnie.

Latem tego roku panowała susza nie do wytrzymania. Od kilku miesięcy w prowincji Pięciu Domów nie spadła ani kropla deszczu, wyschły łożyska rzek, wyschły studnie, i nawet w stolicy dawał się odczuwać brak wody. Tylko studnia w ogrodzie Matsumury była prawie pełna; zimna, czysta, z lekkim niebieskim odcieniem woda pochodziła widocznie z krynicy podziemnej. W okresie upałów przychodziło niemało ludzi z rozmaitych części miasta z prośbą o wodę, i Matsumura pozwalał czerpać, ile tylko kto zapragnął. Pomimo to zapas wody w studni zdawał się zupełnie nie zmniejszać.

Lecz któregoś ranka w studni tej znaleziono pływającego trupa młodej służącej, którą przysłano z sąsiedniego domu po wodę. Przyczyn do samobójstwa nie było żadnych, i Matsumura, przypomniawszy sobie wszystko, co opowiadano o tej studni, zaczął podejrzewać w tym wypadku działanie jakiejś niewidzialnej złej mocy. Postanowił więc ogrodzić studnię wysokim płotem, a tymczasem poszedł ją obejrzeć; gdy stał pochylony nad zrębem studni, zauważył, że woda nagle się poruszyła tak, jakby zawierała w sobie jakąś żywą istotę. Ruch ten wkrótce ustał, i na gładkiej powierzchni wody kapłan ujrzał wyraźnie odbicie twarzy młodej, dziewiętnasto lub dwudziestoletniej kobiety, która robiła swą toaletę. Matsumura widział wyraźnie, że dziewczyna dotyka swych ust maścią „beni“*). Narazie twarz jej była widoczna tylko z

*) Beni—rodzaj rózu, który obecnie jest używany do ust. (Przyp. autora).

profilu, lecz po chwili odwróciła się w stronę kapłana i uśmiechnęła się. W tej samej chwili kapłan doznał dziwnego ściśnienia w sercu i poczuł taki zawrót głowy, jaki się zdarza po nadmiarze wina; wszystko naokół stało się ciemne, z wyjątkiem tej uśmiechniętej twarzy, twarzy białej i pięknej, jak światło księżyca, która stawiała się coraz piękniejsza i ciągnęła go wdół — wdół — w ciemność. Rozpaczliwym wysiłkiem woli Matsumura odzyskał panowanie nad sobą i zamknął oczy. Gdy otworzył je znowu, twarz w studni znikła, i wróciło światło, on zaś sam stał przechylony nad zrębem studni. Gdyby zawrót głowy potrwał jeszcze chwilę, gdyby kapłan jeszcze chwilę patrzył na wabiącą zjawę w wodzie, nie oglądałby już nigdy słońca...

Wróciwszy do domu, Matsumura zapowiedział swym ludziom, żeby nie zbliżali się sami do studni i nie pozwalali nikomu brać z niej wody. Na drugi dzień naokoło studni zrobiono mocny parkan.

W jakiś tydzień po wybudowaniu parkanu długiego okres suszy przerwała наконец wielka burza z deszczem, wiatrem, błyskawicami i grzmotem; grzmoty były tak silne, że całe miasto drżało, jak podczas trzęsienia ziemi. Przez trzy dni i trzy noce trwała ulewa z grzmotami i piorunami, a Kamogawa wezbrała tak, jak nigdy przedtem, i zniosła dużo mostów. W trzecią noc tej burzy o godzinie Wołu ktoś zapukał do drzwi mieszkania kapłana, i dał się słyszeć głos kobiety, która prosiła, aby ją wpuszczono do izby. Lecz Matsumura, nauczony doświadczeniem ze studnią, zabronił swej służbie odpowiadać na tę prośbę. Podeszedł sam do drzwi i spytał:

— Kto tam?

Głos kobiety odpowiedział:

— Przepraszam, to ja, Jajoi*)... Mam coś do powiedzenia Matsumurze Sama, coś, niecierpiącego zwłoki. Proszę otworzyć.

Matsumura bardzo ostrożnie uchylił drzwi i zobaczył tę samą piękną twarz, która uśmiechała się doń ze studni. Tym razem na twarzy tej nie było uśmiechu, miała wyraz bardzo smutny.

— Nie wejdiesz do mojego domu! — zawołał kapłan. — Nie jesteś istotą ludzką, lecz mieszkanką studni... Dlaczego czarujesz i gubisz ludzi w taki niegodziwy sposób?

Mieszkanka studni odpowiedziała głosem dźwięcznym, jak brzęk klejnotów (Tama-wokorogasu-koë):

— Właśnie o tem chcę pomówić... Nigdy nie chciałam krzywdzić istot ludzkich. Lecz w studni tej od zamierzchłych czasów mieszkał Smok... Był on panem studni, i za jego sprawą była ona zawsze pełna. Przed wielu laty wpadłam do niej i w ten sposób stałam się podwładną Smoka, który miał tę moc, że mnie zmusił do zwabiania ludzi, aby potem krew z nich wypijać. Ale teraz Władca Niebios kazał Smokowi wynieść się do jeziora Torri-no-Ike w prowincji Szinszu; bogowie postanowili, że Smok nigdy już nie wróci do tego miasta. Więc dzisiejszej nocy, gdy Smok przeniósł się z tej studni do jeziora, ja mogłam również wyjść, żeby poprosić was o pomoc. W tej chwili, ponieważ Smoka już niema w studni, jest mało wody, i jeżeli każecie zrobić poszukiwania, znajdziecie w niej moje ciało. Proszę was, byście je wydobyli jak najprędzej; naturalnie, postaram się odwdziaczyć wam za waszą usługę.

Powiedziawszy to, znikła w ciemności nocnej.

*) Imię to, choć bardzo niezwykle, jest jeszcze wciąż w użyciu. (Przyp. autora).

Przed świtem burza ucichła, i gdy słońce weszło na czystym błękitie nieba, nie było ani jednej chmurki. Matsumura wczesnym rankiem posłał po czyszcicieli studni i kazał ją przeszukać. Ku powszechnemu zdumieniu studnia okazała się prawie zupełnie suchą. Oczyszczono ją z łatwością i na dnie znaleziono kilka przedmiotów, służących do ozdoby włosów, bardzo starożytnego kształtu oraz metalowe zwierciadło dziwnej formy,—ale nie znaleziono żadnego śladu ciała—ani ludzkiego, ani zwierzęcego.

Matsumura myślał jednak, że zwierciadło będzie mogło dać klucz do zrozumienia tej tajemnicy, ponieważ każde takie lustro jest zaczarowane i ma własną swą duszę,—a dusza zwierciadła jest zawsze rodzaju żeńskiego. To zwierciadło, które robiło wrażenie bardzo starego, w całości pokrywały plamy. Gdy je oczyszczono starannie, okazało się, że jest ono bardzo pięknie i kosztownie odrobione; na odwrotnej jego stronie były śliczne rysunki oraz kilka znaków. Niektóre znaki były już zupełnie nieczytelne, lecz można było odcyfrować część daty i ideogram, oznaczający: „trzeci miesiąc, trzeciego dnia”. Otóż trzeci miesiąc nazywał się Jajoi (miesiąc Przybierający), a trzeci dzień trzeciego miesiąca, który jest świętem, dotychczas nazywa się Jajoi-no-sekku. Przypomniawszy sobie, że mieszkanka studni nazwała siebie Jajoi, Matsumura był prawie pewny, że zjawa, która przyszła do jego domu, nie była nikim innym, tylko duszą zwierciadła.

Dlatego też postanowił traktować je z takim szacunkiem, jaki się należy Duchowi. Kazał je oczyścić starannie, posrebrzyć na nowo, zrobić pudełko z kosztownego drzewa i przygotować w domu specjalny pokój, w którym miano je postawić. Wieczorem tego samego dnia, gdy lustro zostało

umieszczone w tym pokoju, przed kapłanem, siedzącym samotnie w swej pracowni, niespodzianie zjawiała się Jajoi. Wyglądała jeszcze ładniej, niż przedtem, lecz blask jej piękności był teraz miękki, jak światło księżyca w lecie, świecącego przez białe chmury. Powitawszy z wyrazem szacunku Matsu-murę, Jajoi odezwała się swoim słodko brzmiącym głosem:

— Przyszłam podziękować wam za to, żeście mnie wybawili z ciemności i smutku... Jestem, rzeczywiście, jak przypuszczaliście, Duszą Zwierciadła. Za panowania cesarza Samei przywieziono mnie tu z Kudara, i mieszkalam w pałacu aż do czasów cesarza Saga, który łaskawie podarował mnie pani Kamo, Naiszinno Dworu Cesarskiego.*) Następnie stałam się własnością rodową Domu Fudziwara i byłam tam aż do okresu Hogen, kiedy wrzucono mię do studni. W studni leżałam, zapomniana, w ciągu lat wielkiej wojny.***) Panem Studni****) był zło-

*) Cesarz Samei panował od 655 do 622 (P. N. Ch.); cesarz Saga od 810 do 842. Kudara było starożytnem królestwem w południowo-zachodniej części Korei o którym często spotyka się wzmianka w historii Japonji. *Naiszinno* — była to osoba krwi cesarskiej. W starożytnej hierarchji dworskiej było dwadzieścia pięć rang lub stopni szlachejnych dam; stopień Naiszinno był siódmy z kolei.

**)Przez całe wieki żony cesarzów i damy dworu cesarskiego wybierano z klanu Fudziwara. Okres historii pod nazwą Hogen trwał od 1156 do 1159 r. Wyżej wymieniona „wielka wojna“ była to znana wojna pomiędzy klanami Taira i Minamoto.

****) Według starożytnych wierzeń każde jezioro lub źródło miało swego niewidzialnego opiekuna, który czasami przybierał postać węża albo smoka. Ducha jeziora lub stawu nazywano zwykle Ike-no-Muszi czyli Władca Jeziora. W danym wypadku tytuł „Władcy“ był nadany smokowi, mieszkającemu w studni, chociaż zwykle za opiekuna studni jest uważany bóg Suldżin. (Przyp. autora).

śliwy Smok; dawniej mieszkał on w jeziorze, które zajmowało większą część tego obwodu. Gdy z rozkazu rządu jezioro zasypano, żeby wybudować na jego miejscu szereg domów, Smok objął w posiadanie studnię, a gdy ja do niej wpadłam, znalazłam się w jego władzy, i on to zmuszał mnie, by zwabiać do studni wielu ludzi. Lecz teraz bogowie wypędzili Smoka na zawsze... Chcę prosić was o wyświadczenie mi jeszcze jednej łaski. Proszę, postarajcie się, żeby mnie ofiarowano szogunowi, panu Jozhimasa, który jest potomkiem moich poprzednich właścicieli. Zróbcie mi tę ostatnią usługę,—przyniesie to wam szczęście. Muszę jeszcze ostrzec was przed jednym niebezpieczeństwem. Nie powinniście być w tym domu pojutrze, gdyż zostanie zniszczony...

Wyrzekłszy te słowa ostrzeżenia,—Jajoi znikła.

Matsumura skorzystał z tej przestrogi. Następnego dnia przeniósł swych ludzi i wszystkie swoje rzeczy do innej dzielnicy, i zaledwie to uczynił, przyszła druga burza, jeszcze gwałtowniejsza od pierwszej, i dom, w którym kapłan przedtem mieszkał, został zniesiony przez powódź.

W jakiś czas potem za wstawiennictwem pana Hosokawa Matsumura otrzymał audjencję u szoguna Jozhimasa, któremu ofiarował zwierciadło wraz z opisem jego dziwnej historii. Wówczas spełniła się przepowiednia Ducha Zwierciadła; szogun, zadowolony bardzo z tego oryginalnego podarku, nie tylko obdarzył Matsumurę kosztownymi prezentami, lecz ofiarował mu jeszcze dużą sumę pieniędzy na odbudowanie świątyni Ogawaczi-Miodzin.

(The Romance of the Milky Way)

O DUSZACH

Kindzuro, stary ogrodnik, którego głowa błyszczy, jak kula z kości słoniowej, siadł na chwilę przy chibaczi*), żeby wypalić fajkę. Paląc, gderał na swego pomocnika, małego chłopca. Co robił ten chłopiec,—nie wiem dokładnie, lecz słyszałem, że Kindzuro zalecał mu, żeby się postarał zachowywać tak, jak przystało na istotę, mającą więcej, niż jedną duszę. Ponieważ słowa te zainteresowały mnie, wyszedłem więc z pracowni i usiadłem koło Kindzuro.

— Kindzuro,—rzekłem—nie jestem pewny, czy sam mam tylko jedną duszę, czy może więcej, ale bardzo chciałbym wiedzieć, ile dusz macie wy.

— Ja jestem samolub, mam tylko cztery dusze — odpowiedział Kindzuro tonem niezachwianego przekonania.

— Cztery? — powtórzyłem, jak echo, nie będąc pewny, czy dobrze zrozumiałem.

— Cztery — potwierdził Kindzuro. — Lecz zdaje mi się, że ten chłopiec ma tylko jedną duszę, gdyż bardzo mu brak cierpliwości.

*) Chibaczi—naczynie z gorejącymi węglami, umieszczone najczęściej w drewnianej skrzynce, zawierającej piasek—jedy-ny przyrząd do ogrzewania mieszkań japońskich, gotowania herbaty i t. p.

— W jaki sposób — spytałem — dowiedzieliście się, że macie cztery dusze?

— Są mądrzy ludzie — odrzekł Kindzuro, wytrząsając popiół ze swej małej srebrnej fajeczki — są mądrzy ludzie, którzy wiedzą o tych rzeczach. I jest jedna starożytna książka, która o tych rzeczach poucza. Zależnie od wieku człowieka, od czasu jego urodzin i od gwiazd na niebie można odgadnąć ilość jego dusz. Ale jest to wiedza, którą posiadają tylko ludzie starzy; młodzi ludzie z teraźniejszych czasów, ci, którzy przejęli naukę Zachodu, nie wierzą w to.

— Powiedzcie mi, Kindzuro, czy istnieją teraz ludzie, którzy mają więcej dusz, niż wy?

— Oczywiście. Są tacy, którzy mają pięć, sześć, siedem, osiem dusz. Ale bogowie nikomu nie pozwalają mieć więcej, niż dziewięć dusz.

Tego twierdzenia nie mogłem uznać za bezwzględnie słuszne, znałem bowiem kobietę, mieszkającą na drugiej półkuli świata, która posiadała dużo dusz i wiedziała, jak ich należy używać. Nosiła swoje dusze zupełnie tak, jak inne kobiety noszą suknie, i zmieniała je kilka razy dziennie; ilość sukien w szafie królowej Elżbiety była niczem w porównaniu do ilości dusz, które posiadała ta niezwykła osoba. Z tego też powodu nigdy nie była ona taka sama w dwóch różnych okazjach; jednocześnie ze zmianą dusz zmieniała swoje myśli i głos. Czasami była rodem z południa i miała wówczas oczy piwne; a potem znowu stawała się mieszkanką północnych krajów, i oczy jej były szare. Czasami była kobietą z trzynastego wieku, a czasami — z dziewiętnastego; więc ludzie, widząc to wszystko, zaczęli wątpić o swych własnych zmysłach i, chcąc dowiedzieć się prawdy, prosili ją o fotografię, żeby móc je porównać. Fotografowie bardzo chętnie ro-

bili zdjęcia, ponieważ była ona więcej, niż ładna, lecz wkrótce — ku wielkiemu swemu zdumieniu — zauważyli sami, że za każdym razem była ona zupełnie inną osobą. Ci, którzy ją podziwiali, nie mogli jednak zakochać się w niej, bo to, oczywiście, byłoby absurdem. Kobieta owa miała stanowczo za wiele dusz. Niektórzy czytelnicy zrozumieją to, co tu napisałem, i będą mogli potwierdzić prawdę moich słów.

— Co się tyczy tej krainy bogów, o Kindzuro, to może i macie słuszość. Ale są inne kraje, takie, w których bogów robi się ze złota; w tych krajach sprawy nie stoją tak dobrze, i mieszkańców ich dręczą plagi dusz. Bo gdy jedni mają tylko pół duszy lub wcale jej nie posiadają, inni są obdarzeni wielką ilością dusz, dla których nie mogą znaleźć ani zajęcia, ani pokarmu. Dusze zaś, znajdujące się w takim położeniu, dręczą swych właścicieli niemiłosiernie... Mam na myśli dusze Zachodu... Lecz powiedzcie mi, proszę, jaka jest korzyść z posiadania więcej niż jednej duszy?

— Panie, gdyby wszyscy mieli jednakową ilość i jakość dusz, wszyscy byliby na pewno równi sobie pod względem umysłu. Ale widzimy, że ludzie różnią się jedni od drugich, i te różnice między nimi są właśnie wynikiem różnej ilości i jakości ich dusz.

— A czy lepiej jest mieć dużo dusz?

— Lepiej.

— I człowiek, który ma tylko jedną duszę, jest bardzo niedoskonały?

— Bardzo niedoskonały.

— Ale taki niedoskonały człowiek mógł mieć przodka, który był doskonały?

— Owszem.

— Więc człowiek, który żyje dziś i posiada

tylko jedną duszę, mógł mieć przodka z dziewięcioma duszami?

— Oczywiście.

— W takim razie, co się stało z tem pozostałym ośmiorgiem dusz, które posiadał przodek, ale których nie ma potomek?

— O, to już jest sprawa bogów. Sami bogowie oznaczają ilość dusz dla każdego z nas. Godniejszemu dają wiele, mniej godnemu — mało.

— Więc nie rodzice przekazują nam dusze?

— Nie. Dusze są daleko starsze; lata ich są niezliczone.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy człowiek może rozdzielić swoje dusze? Czy może, na przykład, mieć jedną w Kjoto, jedną w Tokio i jedną w Matsue?

— Nie może. Dusze są zawsze razem.

— W jaki sposób? Czy jedna w drugiej, jak małe pudełka lakierowane w „inro“?

— Tego nie wie nikt, oprócz bogów.

— I dusze nigdy nie mogą się rozdzielić?

— Owszem, czasami mogą. Ale jeżeli dusze człowieka rozdzielią się, to taki człowiek wpada w obłąd. Obłąkani—to właśnie ludzie, którzy stracili jedną ze swych dusz.

— A co staje się z duszami po śmierci?

— Zawsze są razem... Gdy człowiek umiera,— jego dusze wchodzą na dach domu i pozostają tam przez czterdzieści dziewięć dni.

— W jakiej części dachu?

— Na „jane-no-mune“ — na „Szczycie Dachu“.

— Czy można je widzieć?

— Żadną miarą. Dusze są jak powietrze. Poruszają się wtył i naprzód jak lekki wietrzyk.

— Czemu pozostają na dachu czterdzieści dziewięć dni, nie zaś pięćdziesiąt?

— Bo przed odejściem mogą pozostawać przez siedem tygodni, a siedem tygodni stanowi czterdzieści dziewięć dni. Ale dlaczego tak jest, tego nie umiem powiedzieć.

* Nie było mi obcem starożytne wierzenie, że duch człowieka zmarłego przebywa przez jakiś czas na dachu swego mieszkania, bo mówi się o tem zupełnie wyraźnie w wielu japońskich utworach dramatycznych i między innemi—w sztuce pod tytułem „Kagami jama”, nad którą ludzie płaczą. Ale nigdy przedtem nie słyszałem o potrójnym, poczwórnym, a nawet jeszcze bardziej złożonym kompleksie dusz. Naprawdę wypytywałem Kindzuro, w nadziei, że uda mi się dowiedzieć, na jakim autorytecie opiera on swe wierzenia. Były to wierzenia jego ojców—nic więcej nie umiał mi powiedzieć. *)

Jak większość mieszkańców Izumo, nasz Kindzuro był buddystą i szintoistą. Jako pierwszy, należał

*) Zczasem przekonałem się, że starzec wyraził tylko pewną spopularyzowaną formę wierzenia, którego dokładne wyjaśnienie wymagałoby obszernej książki. Wierzenie to jest osnute na astrologji chińskiej, być może jednak, że uległo zmianie pod wpływem idei buddyzmu i Szinto. Wzmianka o złożonych duszach zupełnie nie może być wytłumaczona bez uprzedniej znajomości astrologicznych zależności pomiędzy chińskimi znakami zodiaku i dziesięciorgiem genealogij rodowodów niebieskich. Do pewnego zrozumienia tych rzeczy może pomóc niepospolita rozprawa pod tytułem „Time” (Czas) w ślicznej książce Chamberlaina: *Things japonese* (Rzeczy japońskie). Skoro się pozna tę zależność, to jeszcze trzeba będzie przyjąć pod uwagę, że według chińskiego systemu astrologicznego każdy rok znajduje się pod wpływem jednego z „pięciu elementów”: Drzewa, Ognia, Ziemi, Metalu i Wody; w zależności od dnia i roku urodzin człowieka jego temperament jest przesądzony przez niebo. Japoński wiersz mnemoniczny mówi nam o ilości dusz albo natur, odpowiadających każdemu z pięciu wpływów pierwiastkowych, a mianowicie: dziewięć dusz dla drzewa, trzy—dla ognia, jedna — dla ziemi, siedem—dla metalu, pięć—dla wody.

do Zen-szu, jako drugi—do Izumo-Taisza. Ale jego ontologia wydawała mi się różną od nauki tych dwóch wyznań. Buddyzm nie uznaje doktryny złożonej mnogości dusz. Jednak stare książki Szinto, niedostępne zresztą dla szerokich mas, wykładają naukę, mającą pewne dalekie cechy podobieństwa z teorią Kindżuro; lecz Kindżuro nigdy tych książek nie widział. Te książki mówią, że każdy z nas ma dwie dusze: Ara-tama czyli Duch srogi, który jest mścicielem, i Nigi-tama czyli Duch łagodny, Duch przebaczenia. Poza tem wszyscy jesteśmy opadowani przez Ducha „Oho-maga-tsu-bi-no-Kami”—„Przedziwne bóstwo Wielkiego Zła”—i przez Ducha „Oho-naho-bi-no-Kami”—„Przedziwne bóstwo Wielkiej Poprawy”, wywierające na nas dwa wręcz przeciwnie sobie wpływy. Ale teorie Kindżuro są inne. Przypominam sobie, że Hirata pisał coś podobnego do słów Kindżuro o możliwości rozdzielenia się dusz.

„Kiku karani
Himitsu no jama ni
Tsuczi hitotsu
Nanatsu kane to zo
Go sulrjo are.”

Pierwiastki te, pomnożone do dziesięciu przez podział każdego na dwie części—„starszą” i „młodszą”,—odpowiadają dziesięciu niebieskim rodowodom, a ich wpływy są powiązane z wpływami dwunastu znaków zodiaku—Szczyra, Byka, Tygrysa, Zająca, smoka, Węża, Konia, Kozła, Małpy, Koguta, Psa i Wieprza. Wszystkie te znaki znowu są w związku z czasem, miejscem, życiem, powodzeniem, nieszczęściem i t. d. Jednak nawet i te szczegóły dają małe zaledwie pojęcie, do jakiego stopnia zawile są tajniki tych wierzeń astrologicznych.

Książka, na którą powoływał się ogrodnik, była niegdyś tak samo znana w Japonji, jak i książki, przepowiadające szczęście w naszych krajach europejskich. Była to „San-ze-so”, której egzemplarze można znaleźć i teraz.

Jednak—wbrew pogładowi Kindżuro—znawcy tych poglądów chińskich utrzymują, że mieć za wiele dusz jest również źle, jak i posiadać ich za mało. Mieć, naprzykład, dziewięć

Nauka Hirata polegała na tem, że Ara-tama człowieka może opuścić jego ciało, przyjąć jego kształt i bez jego wiedzy zniszczyć nienawidzonego przezeń wroga. Spytałem o to Kindzuro. Odrzekł, że nigdy w życiu nie słyszał ani o „Nigi-tama”, ani o „Ara-tama”, ale opowiedział mi, co następuje:

— Panie, jeżeli żona dowie się, że mąż jej kocha się potajemnie w innej kobiecie, to czasami zdarza się, że ta kobieta dostaje nagle jakiejś choroby, na którą żaden lekarz nie może nic poradzić. Bo jedna z dusz żony, poruszona przez uczucie gniewu, przechodzi w ciało tej innej kobiety, żeby je zniszczyć. Ale z powodu nieobecności swej duszy żona też choruje i na jakiś czas traci rozum.

I jeszcze zdarza się inna, bardziej dziwna rzecz, znana nam, Japończykom, a o której pan, jako człowiek Zachodu, może nigdy nie słyszał. Za pośrednictwem bogów i w słusznej sprawie dusza może być czasami wyjęta na krótką chwilę z ciała i może wyjawiać swoją najbardziej skrytą myśl. W takich razach ciało nie doznaje żadnej szkody. Cud ten dzieje się w taki sposób:

Mężczyzna kocha ładną dziewczynę, z którą może się ożenić, lecz ma pewne obawy, czy ona mu jest wzajemna. Szuka więc kannuszi (kapłana)

dusz—znaczy mieć umysł rozproszony w różnych kierunkach z brakiem skupienia w jednym z nich; mieć zaś tylko jedną duszę—znaczy nie posiadać żywej inteligencji. W tym wypadku słowa „natury” albo „charaktery” dokładniej oddałyby te idee astrologii chińskiej. Z tych wierzeń powstało całe mnóstwo przedziwnych rojeń i fantazji — Z setek przykładów, które można bytoby podać, przytoczę jeden, a mianowicie: że osoba, której natura jest podporządkowana ogniewi, nie powinna się pobierać z kimś o naturze podwładnej wodzie. Stąd przysłowie, dotyczące małżeństw niepomysłnych: „Oni są, jak ogień i woda”

w którejsz ze świątyni Szinto*), opowiada mu o swych wątpliwościach i prosi, żeby bogowie pomogli mu je rozwiązać. Wówczas kapłan pyta go nie o jego imię, lecz o wiek, rok, dzień i godzinę jego urodzin i zapisuje te dane dla wiadomości bogów. Następnie prosi go, żeby po upływie siedmiu dni przyszedł znowu do świątyni.

☉ A przez te siedm dni kapłani modlą się do bogów, prosząc ich, żeby wątpliwości tego człowieka pozwolili im rozwiązać; jeden zaś z nich codzień rano obmywa swe ciało w chłodnej wodzie i przyjmuje tylko taki posiłek, który był przygotowany na świętym ogniu.

Osmego dnia człowiek ów wraca do świątyni i wchodzi do jednej z wewnętrznych sal, gdzie przyjmują go kapłani.

Odbywa się ceremonia, odmawiają się specjalne modlitwy, poczem wszyscy czekają w milczeniu. I wówczas ten kapłan, który spełniał rytuał oczyszczania się, nagle zaczyna drżeć na całym ciele, jakby w przystępie silnej gorączki. Dzieje się to dlatego, że za pośrednictwem bogów dusza dziewczyny, o której miłości wątpiono, weszła, przerażona, w ciało kapłana. Dziewczyna nie wie o tem, bo w tej samej chwili, niezależnie od tego, gdzieby się znajdowała, leży pogrążona w głębokim śnie, z którego nic nie jest w stanie jej obudzić. A jej dusza, wezwana do ciała kapłana, może mówić tylko prawdę i musi powiedzieć wszystkie swoje myśli. I kapłan nie mówi swoim własnym głosem, lecz głosem tej duszy, i mówi w imieniu duszy: — „kocham” — lub — „nienawidzę” — zależnie od tego, jak jest naprawdę, używając zwrotów mowy kobiet. Jeżeli jest nie-

*) Zwykle świątynia Inari. Takie rzeczy nie robią się nigdy przed wielkimi oltarzami Szinto. (Przyp. autora).

nawiść, to dusza podaje przyczyny tej nienawiści, ale jeżeli odpowiedź głosi miłość, to nie ma nic więcej do powiedzenia. Następnie dusza wychodzi z ciała kapłana, ten przestaje drzeć, lecz pada na twarz jak martwy i leży tak bardzo długo.

— Powiedzcie mi, Kindzuro — spytałem, wysłuchawszy wszystkich tych dziwnych rzeczy—czy widzieliście kiedy, żeby za pośrednictwem bogów dusza wysnuła się z jakiej osoby i osiadła w sercu kapłana?

— Owszem. Widziałem to.

Nie odpowiedziałem nic i czekałem w milczeniu. Stary ogrodnik wypróżnił swą fajkę, położył ją obok „chibaczi”, złożył ręce i patrzył przez chwilę na kwiaty lotosu. Potem uśmiechnął się i zaczął mówić:

— Panie, ożeniłem się, będąc bardzo młody. Przez wiele lat nie mieliśmy dzieci, wkońcu jednak żona urodziła mi syna, a sama stała się Buddą^{*)}. Lecz syn mój żył i wyrósł na silnego, ładnego mężczyznę, a gdy przyszła rewolucja, poszedł do wojska Syna Nieba i zginął śmiercią walecznych podczas wojny południowej w Kjuszu. Kochałem go bardzo, więc płakałem z radości, że mógł umrzeć za naszego świętego cesarza, bo nie może być bardziej zaszczytnej śmierci dla syna samuraja. Pochoowano go daleko ode mnie w Kjuszu, na pagórku, w pobliżu Kumamoto, które jest miastem słynnym i ma silny garnizon. Ja zaś poszedłem tam, żeby upiększyć jego mogiłę. Imię jego jest i tutaj, w Ninomaru, wykute na pomniku, wzniesionym dla ludzi z Izumo, którzy padli w walce za prawowitość i honor, w świętej sprawie naszego cesarza. I gdy widzę tu jego imię, serce we mnie się śmieje, prze-

^{*)} Stać się Buddą—znaczy umrzeć.

mawiam do niego i zdaje mi się, że krąży on, jak dawniej, koło mnie w cieniu wielkich sosen... Ale wszystko to jest inna sprawa.

Smutno mi było bardzo po śmierci żony. Przez wszystkie te lata, któreśmy ze sobą przeżyli, nie padło między nami nigdy żadne złe słowo. Więc gdy ona umarła, postanowiłem nie żenić się nigdy. Ale gdy przeszło jeszcze kilka lat, mój ojciec i moja matka chcieli mieć córkę w domu i powiedzieli mi o tem swoim życzeniu i o dziewczynie, która była z dobrej rodziny, choć bardzo biedna. Rodzice jej byli spowinowaceni z nami, dziewczyna zaś była ich jedynym oparciem. Tkąła suknie z jedwabiu i z bawełny, lecz zarabiała bardzo mało. Ponieważ była dobrą córką, i przyzwoitą dziewczyną, i nieszczęśliwą krewną naszą, rodzice moi chcieli, żebym się z nią ożenił i pomógł jej rodzinie. bo my w tym czasie mieliśmy mały dochód z ryżu. Będąc przyzwyczajony do posłuszeństwa względem rodziców, zgodziłem się, aby uczynili tak, jak im się wydawało najlepiej. Wezwano więc nakodo*) i rozpoczął się przygotowania do ślubu.

Dwa razy miałem okazję zobaczenia tej dziewczyny w domu jej rodziców. I gdy pierwszy raz spojrzałem na nią, poczułem się szczęśliwy, bo była bardzo skromna i młoda. Następnym razem jednak zauważyłem, że była zapłakana i że oczy jej unikały mego wzroku. Wówczas serce me ogarnęła trwoga, bo pomyślałem sobie: ...Nie lubi mnie... zmuszają ją, by wyszła za mnie... I postanowiłem spytać bogów. Postarałem się odłożyć ślub i poszedłem do świątyni Janagi-no-Inari-Sama, która się znajduje na ulicy Zaimokuczo.

A gdy przyszło nań drżenie ciała, kapłan, przez

*) Nakodo—swat zawodowy.

którego przemawiała dusza tej dziewczyny, oznajmił mi:

— Serce me nienawidzi cię, i na widok twej twarzy robi mi się niedobrze, ponieważ kocham innego i ponieważ zmuszają mnie do małżeństwa z tobą. Ale pomimo to, że serce moje nienawidzi cię, muszę wyjść zamaż za ciebie, bo rodzice moi są biedni i starzy, a ja sama jedna nie będę mogła utrzymywać ich długo, gdyż praca moja mnie zabija. Ale chociaż mogę starać się być dobrą żoną, nigdy nie będzie szczęścia w naszym domu, bo serce moje nienawidzi cię wielką i trwałą nienawiścią, i dźwięk twego głosu powoduje chorobę w mej piersi („koe kiite mo mune ga waruku naru”), widok zaś twej twarzy wywołuje we mnie pragnienie śmierci („kao miru to szinitaku naru”).

Dowiedziawszy się w ten sposób prawdy, powiedziałem o niej moim rodzicom i napisałem kilka dobrych słów do dziewczyny, prosząc ją, by wybaczyła cierpienia, które sprawilem jej bezwiednie. Następnie przez dłuższy czas udawałem, że jestem chory, żeby w ten sposób móc zerwać małżeństwo, nie narażając się na plotki. Rodzinie tej dziewczyny zrobiliśmy podarek, i dziewczyna też była szczęśliwa, bo po upływie pewnego czasu mogła wyjść zamaż za tego, kogo kochała. Moi rodzice już nigdy więcej nie nalegali na mnie, abym wziął sobie żonę i od czasu ich śmierci żyłem samotnie... O, paniel spójrzcie tylko, jaki to jest wyjątkowo zły chłopiec!

Młody pomocnik Kindżuro, korzystając z tego, że byliśmy zajęci rozmową, zrobił sobie improwizowaną wędkę z kija bambusowego i kawałka sznurka; na końcu sznurka powiesił kulkę tytoniu, ściągniętego z woreczka starego ogrodnika. Wędką tą łowił ryby w stawie, w którym rosły lotosy. Wędkę połknęła żaba i w tej chwili wisiała właśnie nad

kamykami, drgając w wirowym ruchu i wierzgając spazmatycznie z obrzydzenia i rozpacz.

— Kadził! — krzyknął ogrodnik.

Chłopak rzucił wędkę ze śmiechem i przybiegł do nas, nie okazując najmniejszego zawstydzenia. Żaba wyplunęła tytoń i zanurzyła się znowu w stawie. Kadzi najwidoczniej nie bał się gderania.

— Goszo ga warui — oznajmił ogrodnik, kiwając łysą głową. — O, Kadził! obawiam się bardzo, że twoje przyszłe narodziny będą złe. Czy ja kupuję tytoń dla żab?... Panie, czyż nie miałem słuszności, mówiąc, że ten chłopak ma tylko jedną duszę?

(Glimpses of Unfamiliar Japan.)

O WŁOSACH KOBIET

I

Włosy najmłodszej córki w rodzinie są bardzo długie, a upinanie ich przedstawia wcale ciekawy widok. Uczesanie robi się raz na trzy dni, i powiadają, że kosztująca trzy seny operacja ta trwa całą godzinę. Ściślej jednak rzeczy biorąc, trwa ona prawie dwie godziny. Fryzjerka (kamijui) posyła najpierw swą uczennicę, która czyści włosy, myje, perfumuje i czesze co najmniej pięciorakim rodzajem grzebieni. Włosy więc są tak doskonale wyczesane, że przez trzy lub nawet cztery dni pozostają nieskazitelnie czyste. Rano, w czasie wycierania kurzów i trzepania, okrywa się je starannie chusteczką lub małym błękitnym ręcznikiem, oryginalna zaś drewniana poduszka japońska, na której się opiera nie głowę, lecz tylko szyję, pozwala spać wygodnie i nie psuje tej nadzwyczajnej budowy.*)

Gdy pomocnica skończy swój dział pracy, występuje fryzjerka właściwa i zaczyna budowanie fryzury. Do pracy tej używa—oprócz rozmaitych nadzwyczajnych grzebieni—cienkich pętlic z pozła-

*) Dawniej z tych samych powodów mężczyźni również używali takich poduszek. Związywanie w kunsztowny węzeł długich włosów młodych samurajów wymagało bowiem niemałego czasu. Teraz, gdy prawie powszechną stała się moda krótkich włosów, mężczyźni zaczęli używać poduszek w kształcie małych wałków. (Przyp. autora).

canych nici albo sznureczków z kolorowego papieru, małych kawałków ślicznie farbowanej krepy jedwabnej, delikatnych stalowych sprężynek i dziwnych małych przedmiotów, które mają kształt koszyczków. Włosy, zanim zostaną umieszczone na właściwe sobie miejsce na głowie, są najpierw naciągane na te koszyczki, które nadają im w ten sposób pożądaną formę.

Kamijui przynosi ze sobą również i brzytwy, bo dziewczyna japońska musi być ogolona, — gołą jej policzki, uszy, brwi, podbródek i nawet nos. Co może być do golenia na tym ostatnim? Tylko puszek, jak na brzoskwini—delikatny aksamit na skórze ludzkiej—który jednak zgodnie z gustem japońskim musi być usunięty. Poza tem brzytwy używa się i w innym celu. Wszystkie dziewczyny na znak swego dziewictwa mają na samym wierzchu głowy małą, okrągłą, wygoloną tonsurkę o średnicy, wynoszącej około jednego cala. Tonsurka ta jest przykryta częściowo pasmem włosów, przyciągniętem od czoła naukos przez to wygolone miejsce i związanem ztyłu głowy z resztą włosów. Głowa dziewczynki-niemowlęcia jest zupełnie wygolona. Gdy małe stworzenie ma już kilka lat, włosom pozwalają rosnać i gołą tylko wierzch głowy, utrzymując w tem miejscu większą tonsurę. Wielkość tej tonsury zmniejsza się z każdym rokiem, a gdy dziewczyna przestaje już być dzieckiem, tonsura kurczy się do rozmiarów wyżej wspomnianej plamki. Po wyjściu zamaż znika i plamka, uczesanie zaś staje się jeszcze bardziej skomplikowane.

II

Zdawałoby się, przynajmniej z punktu widzenia naszego—ludzi z Zachodu—że takie gładkie, ciem-

ne włosy, jakie przeważnie mają Japonki, są złym materiałem dla kunsztu fryzjerskiego.*) Lecz zręczność kamijui jest taka wielka, że potrafi ona zaspokoić każdy kaprys mody. Japonia nie zna ani papilotów, ani rurek do karbowania włosów. Lecz w jakież nadzwyczajne i piękne formy układają się włosy japońskiej dziewczyny—zwoje, strugi, wiry, wichry, liście, przechodzące łagodnie jedno w drugie, jak ogniwa pociągnąć pendzelka w piśmie chińskiego mistrza.

Sztuka kamijui jest znacznie wyższa od sztuki paryskiej „coiffeuse”. Począwszy od czasów mitologicznych, pomysłowość Japończyków wysiła się na ulepszanie i wymyślanie rozmaitych sposobów pięknego czesania włosów kobiecych; chyba w żadnym kraju nie było nigdy tak rozmaitych i ładnych odmian mody fryzur, jak w Japonii. Mody zmieniały się w ciągu stuleci—czasami były niezmiernie zawiłe w rysunku, a czasami znowu nadzwyczaj proste, jak na przykład, ta wdzięczna moda, którą widzimy na tyłu oryginalnych sztychach—moda, pozwalająca nosić długie, czarne warkocze zupełnie luźno.**)

Lecz każdy styl uczesania, które widzimy na rysunkach, ma swoisty wdźwięk. Indyjskie, chińskie,

*) Błędem jest przekonanie, jakoby wszystkie Japonki miały błękitno-czarne włosy. Są dwa odmienne typy rasowe. Jeden z nich ma włosy ciemno-brązowe zamiast czysto czarnych, i te jaśniejsze włosy są miększe i cieńsze. Rzadziej, znacznie rzadziej, można spotkać włosy zlekka kędzierzawe. Z powodu specjalnych przyczyn, których nie można tu wymienić, kobiety z Izumo wstydzą się włosów falistych; wstydzą się tego bardziej, niż kalectwa.

**) Znacząca sztuka może określić wiek niepodpisanego kakemono (obrazu) lub innego dzieła sztuki, na którym są przedstawione postacie ludzkie, według stylu uczesania kobiecego. (Przyp. autora).

malajskie i korejskie pojęcia piękna znalazły drogę do Krainy Bogów, zostały w niej przyjęte i zmienione przez bardziej delikatną koncepcję narodu przyzwoitości. Może być, że i buddyzm, który wywarł bardzo głęboki wpływ na całą sztukę i myśl japońską, wpłynął również i na modę uczesań, gdyż boginie buddyjskie mają zawsze bardzo piękne koafjury. Spójrzcie na włosy Kwannon lub Benten i na warkocze Tennin, — na te anielskie dziewice, płynące w lazurze na sklepieniach wielkich świątyń.

III

Uczesania nowomodne są ładne przez to, że włosy tworzą rodzaj aureoli, na której tle uwydatnia się piękność i delikatność rysów młodej twarzy. Za tą śliczną, czarną aureolą zaczynają się pętlice i wiązania, których ani początku, ani końca dostrzec niepodobna. Tylko kamijui ma klucz od tej zagadki. Całość trzyma się przy pomocy oryginalnych, ozdobnych grzebieni i pięknych, długich szpilek ze zręcznie rzeźbionymi główkami. Szpilki bywają ze złota, srebra, masy perłowej, przezroczystego szyldkretu lub drzewa lakowanego.*)

IV

Fryzjerki z Izumo znają przynajmniej czternaście różnych sposobów upinania włosów; niewątpliwie, w stolicy i innych dużych miastach we wschodniej części Japonji, sztuka ta jest jeszcze bar-

*) Główna i nieodzowna szpilka Kanzaszi ma zwykle siedem cali długości, jest rozdwojona na końcu i może służyć, jako szczypczyki do podnoszenia małych przedmiotów. Główna jest zakończona drobnym występem w formie łyżki, mającym specjalne przeznaczenie w toalecie Japonek.

dziej rozwinięta. Kamijui chodzą od domu do domu, odwiedzając swe klientki w ściśle oznaczonych dniach i godzinach. Włosy małych dziewczynek od siedmiu do ośmiu lat są zwykle czesane na sposób, zwany O-T a b a k o - b o n. W uczesaniu O - T o b a k o - b o n (zaszczytne pudełko do palenia) włosy obcięte są na długość mniej więcej czterech cali naokoło całej głowy z wyjątkiem czoła, na którym przyszyty się je trochę krócej; na wierzchołku głowy są one znacznie dłuższe i związane w oryginalny węzeł, usprawiedliwiający dziwną nazwę tej fryzury. Gdy tylko dziewczynka podrośnie o tyle, że może już chodzić do żeńskiej szkoły powszechnej, zaczynają ją czesać w ładny, prosty sposób, nazywany k a t s u r a s i t a, albo nowy, brzydki, nawpółcudzoziemski s o k u h a t s u, który jest wymagany na pensjach. Córki biednych ludzi, a nawet i te dziewczęta, które należą do średnio zamożnej klasy, pozostają w szkole powszechnej bardzo krótko; nauka ich kończy się zwykle na kilka lat przed zamążpójściem, a dziewczęta japońskie wychodzą za mąż bardzo wcześnie. Dziewczyna zaczyna się czesać w bardziej wyszukany sposób dopiero w wieku lat czternastu lub piętnastu. Od dwunastu do czternastu lat włosy jej są uczesane w stylu O m o j e d z u k i, potem następuje ładna koafjura j o r o w a g e. Styl j o r o w a g e ma kilka odmian, mniej lub bardziej skomplikowanych. W parę lat później j o r o w a g e ustępuje miejsca sz i n d ż o c z o (styl nowego motyla) albo stylowi s z i m a d a, zwanemu również t a k o w a g e. Uczesanie sz i n d ż o c z o jest pospolite; w ten sposób czeszą się kobiety w rozmaitym wieku. S z i m a d a jest fryzurą wyszukaną, ale im przyzwoitsza jest rodzina, do której dana kobieta należy, tem mniejsze są rozmiary tej koafjury; u g e j s z

i dżoro są one wyższe i większe, co właściwie odpowiada nazwie takagawe czyli „wysokie uczesanie”. Między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia dziewczyna zaczyna się czesać w sposób, zwany tendzingaeszi; między dwudziestym a dwudziestym czwartym przechodzi do stylu mitsugawe czyli „uczesanie potrójne”, składające się z trzech pętlic; trochę podobna, choć nieco bardziej złożona fryzura, zwana mitsuwakudzuszi zdobi kobiety, mające od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu lat. Do tego wieku wszystkie sposoby upinania włosów były wyszukane i złożone. Lecz po dwudziestu ośmiu latach Japonka przestaje być uważana za kobietę młodą i pozostaje jej już tylko jedna koafjura — mocziriwage lub bobai — proste, brzydkie uczesanie starych kobiet.

Mężatka czesze się w sposób zupełnie inny od wyżej opisanych. Najładniejszym, najbardziej wypracowanym i najkosztowniejszym ze wszystkich uczesań jest uczesanie panny młodej, zwane hanajome — co dosłownie znaczy „oblubienica kwiatu”. Uczesanie to jest równie delikatne, jak jego nazwa, i żeby móc je ocenić, trzeba je zobaczyć. Potem mężatka czesze się w stylu kumesa albo maruwage, który inaczej nazywa się katsujama. Uczesanie kumesa spotyka się wśród kobiet biednych; maruwage jest uczesaniem wytworknem. W dawnych czasach kobiety, należące do klasy samurajów, czesały się dwojakim sposobem: uczesanie dziewcząt nazywało się iczogaeszi, zaś kobiet zameżnych — katahaiszi.

W Matsue jeszcze i teraz można zobaczyć czasami fryzurę w stylu katahaiszi.

Kamijui O-Koto-San, najbardziej utalentowana ze wszystkich fryzjerek w Izumo, jest to przystojna, mała kobietka w wieku lat koło trzydziestu. Na szyi ma trzy delikatne, ładne linie, które znawcy kobiecej piękności nazywają „naszyjnikiem Venus”. Ten rzadki wdzięk omal że nie stał się przyczyną ruiny O-Koto. Była to ciekawa historia.

W początkach swej kariery O-Koto miała rywalkę, — rywalką jej była zdolna fryzjerka Dżin, oznaczająca się bardzo złośliwym charakterem. Stopniowo Dżin straciła wszystkie dobre klientki, i mała Koto stała się modną fryzjerką. Lecz jej dawna rywalka, pod wpływem zazdrości i nienawiści wymyśliła złą plotkę o Koto; plotka przyjęła się dobrze na gruncie przesądów w Izumo i nabrała dużego rozgłosu. Trzy delikatne linie koło szyi Koto dały powód chytrej Dżin do opowiadania, że Koto jest „Nuke Kubi”.

Co to jest „Nuke Kubi”? „Kubi” — znaczy szyja albo głowa. „Nukeru” — znaczy pełznąć, kryć się, rabować, wyslizgiwać się pokryjomu. Mieć „nuke kubi” — znaczy mieć głowę, która oddziela się od tułowia i chodzi w nocy samodzielnie na żer.

Koto była dwa razy zamężna, i jej drugie małżeństwo było szczęśliwe. Lecz pierwszy mąż przyczynił jej wiele zmartwień, a wkońcu zaś uciekł od niej z jakąś kobietą o podejrzaną reputację. Od tego czasu nic o nim więcej nie słyszano, i Dżin uznała, że można zupełnie bezpiecznie wymyślić historię o jego zniknięciu. Zaczęła więc opowiadać, jakoby mąż opuścił Koto dlatego, że obudzwszy się pewnego razu w nocy, zobaczył, jak głowa jego młodej żony podniosła się z poduszki, a szyja wydłużyła się nakształt węża, gdy tym-

czasem ciało leżało nieruchomo. Widział, jak głowa ta, wsparta na corazto bardziej wydłużającej się szyi, weszła do najdalszego pokoju i wypila oliwę z lamp, poczem wróciła z wolna na poduszkę, szyja zaś zaraz skurczyła się. — „Wówczas mąż wstał i uciekł z domu w wielkiej trwodze” — kończyła swe opowiadanie Dżin.

Ponieważ jedna plotka zawsze rodzi inne, wkrótce więc o biednej Koto zaczęły krążyć rozmaite dziwne wymysły. Opowiadano, że jakiś policjant późno w nocy widział, jak głowa kobieca bez tułowia gryzła owoce na drzewie, które rosło przy murze ogrodowym. Wiedząc, że jest to „nuke-kubi”, policjant uderzył ją płazem miecza. Głowa uciekła szybko — jak nietoperz, pomimo to policjant zdażył jednak poznać twarz kamijui. — „Och, to jest zupełna prawda, — oznajmiła Dżin na drugi dzień po tem rzekomem zdarzeniu — a jeżeli nie wierzycie w to, poślijcie do Koto z oznajmieniem, że chcecie ją widzieć. Ona nie może wyjść, bo ma całą twarz spuchniętą.” — W tych ostatnich słowach kryła się prawda, bo Koto właśnie w tym czasie cierpiała na ból zębów. Fakt ten umocnił kłamstwo. Plotka wreszcie doszła do gazety miejscowej, która ją opublikowała, jako przykład łatwości ludu. Dżin zaś rzekła: — „Czy nie mówiłam prawdy? Patrzcie, co w gazecie jest wydrukowane”.

Wskutek tego całe tłumy ciekawych zaczęły się zbierać przed małym domkiem Koto, dzięki czemu życie jej stało się tak okropne, że mąż musiał wciąż nad nią czuwać, żeby nie popełniła samobójstwa. Na szczęście Koto miała dobrych przyjaciół w rodzinie gubernatora, która od lat wielu korzystała z jej usług, jako fryzjerki. Gubernator, dowiedziawszy się o tych nikczemnych plotkach, napisał wyjaśnienie i ogłosił je drukiem ze swoim

podpisem. Ludzie z Matsue szanowali swego starego samuraja-gubernatora jak Boga i wierzyli w każde jego słowo; gdy więc przeczytali to, co czci-godny mąż napisał, poczuli się zawstydzeni, przestali rozpowszechniać plotki i zadenuncjowali kłamcę. Małej zaś Koto zaczęło powodzić się jeszcze lepiej, niż przedtem, gdyż pozyskała powszechną sympatię.

Niektóre najdziwniejsze wierzenia, pochodzące z dawnych czasów, wciąż jeszcze żyją w Izumo i w innych miejscowościach dzięki wędrownym teatrom, które w Ameryce nazywają „travelling side shows”, a niedoświadczony cudzoziemiec nie może nawet wyobrazić sobie wszystkich możliwości japońskiego wędrownego teatru. Trupa taka zjawia się w dzień wielkich świąt, wznosi efemeryczny teatr z mat i bambusów na podwórzu jakiejś świątyni, zaspakaja oczekiwania ludności przez najbardziej niewiarogodne niespodzianki i znika równie nagle, jak się zjawiała. „Szkielet diabła”, „pazury upiora” i „szczur, wielki jak owca”—były to najmniej dziwne okazy, jakie sam widziałem. Pazury upiora okazały się bardzo ładnymi zębami rekina; szkielet diabła był szkieletem orangutana — z wyjątkiem rogów, dowcipnie przyczepionych do czaszki; cudowny szczur był oswojonym kangurem.

Czego jednak nie mogłem dobrze zrozumieć, to przedstawienia z „nuke-kubi”, w którym jakaś młoda kobieta wyciągała swą szyję mniej więcej na dwie stopy, robiąc przytem straszne miny.

Są rozmaite stare przesady, dotyczące włosów kobiecych.

Podanie o Meduzie ma dużo odpowiedników w folklorze japońskim. Bohaterką takich bajek by-

wa najczęściej jakaś niezwykle piękna dziewczyna, której włosy zamieniają się w węże tylko w nocy i która, jak się to okazuje wkońcu, jest smokiem lub córką smoka. Lecz w starożytności wierzano, że włosy każdej kobiety pod wpływem pewnych okoliczności mogą się zamienić w węże. Naprzykład, wskutek długo tłumionego uczucia zazdrości.

W dawnych czasach wielu bogatych ludzi utrzymywało nałożnice (mekake lub aiszo) pod jednym dachem z prawowitą żoną (okusama). Podanie głosi, że—choć dzięki surowej patriarchalnej dyscyplinie pomiędzy mekake i okusama panowała we dnie pozorna harmonja, — w nocy ich wzajemna skryta nienawiść ujawniała się w zmianie ich włosów. Długie, czarne warkocze każdej z nich rozwijały się, syczały i starały się wzajemnie pożreć; nawet ich lustra uderzały wzajem o siebie, bo jak mówi stare przysłowie: kagami onna-no tamaszii—(lustro jest duszą kobiety).*) Znanе jest opowiadanie o Kato Sajemon Szigendzi, który zobaczył w nocy, że włosy jego żony i włosy jego nałożnicy zamieniły się w żmije, wiły się, syczały i gryzły nawzajem. Więc Kato Sajemon zmartwił się bardzo tym dowodem utajonej gorzkiej nienawiści, która powstała z jego winy, zgolił głowę i stał się kapłanem w wielkim klasztorze buddyjskim Kojasan, w którym żył aż do dnia swej śmierci pod przybranem imieniem Karukoja.

VI

Włosy kobiety umarłej są upinane w sposób,

*) Starożytne lustra japońskie były nadzwyczaj piękne, i robiono je z metalu. „Kagami ga kumoru to tamaszii ga kumoru” (gdy lustro jest mętne, dusza jest nieczysta) takie jest drugie przysłowie o lustrach. (Przyp. autora).

zwany *tabanegami*, co trochę przypomina uczesanie szimada, tylko bardzo uproszczone, bez żadnych ozdób. Nazwa *tabanegami* oznacza włosy, związane w pęczek, jak wiązka ryżu. W taki sam sposób czeszą się kobiety podczas żałoby.

Duchy jednak Japończycy wyobrażają sobie z długimi, rozpuszczonymi włosami, które w szczególny sposób spadają im na twarz. Niewątpliwie wierzbą jest uważana za ulubione drzewo duchów dlatego, że w jej zwieszających się gałązkach jest taki sam wyraz melancholji. Powiadają, że duchy w nocy płaczą w cieniu wierzb, a włosy ich łączą się z długimi, rozwianymi warkoczami drzewa.

Podług tradycji, pierwszym artystą japońskim, który narysował ducha, był Okjo Marujama. Szogun zaprosił go do swego pałacu i powiada malarzowi: — „Namaluj mi ducha”. — Okjo przyrzekł, lecz nie wiedział, jak wykonać ten rozkaz. W kilka dni później dowiedział się, że jedna z jego ciotek była ciężko chora, więc poszedł ją odwiedzić. Ciotka jego była do tego stopnia wychudła i wynędzniała, że sprawiała wrażenie osoby dawno, umarłej i gdy Okjo ją obserwował, stojąc przy łóżku, przyszło nań natchnienie: narysował twarz wyschniętą, długie, rozrzucone włosy i stworzył z tego szkicu postać ducha; malowidło przeszło oczekiwanie Szoguna. Okjo zasłynął potem bardzo, jako malarz duchów.

Duchy japońskie są zawsze wyobrażane, jako istoty przezroczyste i nienaturalnie wielkie; wyraźnie zarysowana bywa tylko ich górna część ciała, dolna zdaje się rozwiewać w powietrzu.

Jak mówią Japończycy, „duch nie ma nóg”. Ich postacie są, jak opary, widoczne tylko na pewnej odległości od ziemi; w wyobraźni artystów chwieją się one, wydłużają, falują, jak mgła, od wiatru poruszana. Czasami na rysunkach w książkach ko-

biety-widma są podobne do żywych kobiet; ale to nie są prawdziwe duchy, to są „kobiety-lisy”*) lub inne gnomy. Że nie są to zwykłe istoty, można poznać po dziwnym wyrazie ich oczu i niezwykłym, czarującym wdzięku.

Małe dzieci w Japonji, tak samo, jak i dzieci w innych krajach, lubią uczucie strachu i mają dużo gier, w których strach jest główną ponętą. Do takich gier należy O-bake-goto czyli „zabawa w ducha”. Któraś z nianiek lub starsza siostra, z rozpuszczonemi i spadającemi na twarz włosami, ugaania się za małemi dziećmi, jęczy przytem i naśladuje ruchy i pozy duchów na obrazkach.

VII

Ponieważ włosy są najcenniejszą ozdobą kobiety japońskiej, więc ze wszystkich możliwych ofiar najbardziej bolałaby ją strata włosów. W dawnych czasach mężczyzna, zbyt szlachetny na to, żeby zabić grzeszną żonę, wyrzucał ją z domu z ostrzyżonemi włosami. Tylko największa wiara i najgłębsza miłość może skłonić kobietę do dobrowolnego poświęcenia wszystkich swoich włosów, chociaż częściowe ofiary w postaci jednego lub dwóch pasem wiszą przed niejednym ołtarzem w Izumo.

Do jakich poświęceń w tej dziedzinie może skłonić wiara, o tem najlepiej wiedzą ci, którzy widzieli wielkie sznury, splecione z włosów kobie-

*) Wśród ludu japońskiego istnieje przesąd, że wszystkie lisy posiadają nadprzyrodzoną siłę i mogą przechodzić w niewidzialność lub przybierać rozmaite postaci dla czarowania ludzi. Najchętniej w takich razach przybierają postać młodej, ładnej kobiety. Wogóle zaś wierzenia japońskie o lisach są nader ciekawe, lecz i bardzo zawile.

cych, wiszące w świątyni Kongwanzi, w Kjoto. Miłość zaś silniejsza jest, niż wiara, choć przejawy jej są mniej okazowe. Zgodnie ze starożytnym obyczajem wdowa poświęca część swych włosów i wkłada je do trumny męża, żeby je pochowano razem ze zmarłym. Ilość włosów nie jest ściśle określona; w większości wypadków jest ich mało i wygląd uczesania nie cierpi na tem. Lecz kobieta, która postanowiła na zawsze pozostać wierną pamięci zmarłego, oddaje wszystkie swe włosy. Obcina je własnoręcznie i kładzie tę ofiarę—emblemą swej młodości i piękności—na kolanach zmarłego. Ofiarodawczyni nie pozwala już nigdy odrosnąć swym włosom.

(Glimpses of Unfamiliar Japan).

I

Znaleźć Dżizo-Do było niełatwo. Świątynia ta znajdowała się w podwórzu za uliczką małych sklepików i była ukryta za bardzo wąskim przejściem pośród dwóch domów. Każdy podmuch wiatru zasłaniał to przejście draperją, która stanowiła szyld sklepu ze starymi ubraniami.

Z powodu upału szodzi*) w małej świątyni wyjęto; stała też ona otworem na wszystkie trzy strony. Na żółtych matach zobaczyłem zwykle buddyjskie sprzęty: dzwonek, pulpit i purpurowy lakowany mokućjo. Na ołtarzu mieścił się kamienny Dżizo, ubrany w mały śliniak na intencję duchów dzieci; nad posągami, na długiej półce, stały mniejsze posążki, pozlacane i malowane: drugi Dżizo w aureoli od stóp do głowy, promienny Amida, Kwannon o słodkiej twarzy i straszna figura Sędziego Dusz. Ponad tem, w górze, wisiały rozmaite wota, między którymi były dwa, oprawione w ramki, wycinki z amerykańskich ilustrowanych gazet—widok, przedstawiający wystawę w Filadelfji, i portret Adelaidy Neilson w roli Juljetty. Zamiast zwykłych flakonów do kwiatów przed „honzon” stały szklane słoje z napisami: „Reine Claude au jus. Conservation garantie. Toussaint Cosnard. Bordeaux”. Nadpis zaś na pudełku, w którym było

*) Szodzi—papierowe okna.

kadzidło, głosił: „Rich in flavour-Pinhead Cigarettes”. Naiwni ludzie, którzy ofiarowali te rzeczy i którzy nie mieli nadziei, żeby kiedykolwiek na tym świecie mogli zrobić dar kosztowniejszy, uważali te wota za piękne, ponieważ były dziwne. I mimo te wszystkie dziwactwa wydało mi się, że mała świątynia wygląda ładnie.

Ekran, na którym były przedstawione szczególne postaci Artha'tów, stwarzających smoki, zasłaniał dalszy pokój, a śpiew niewidzialnego *uguisu**) dodawał uroku ciszy, panującej w tem miejscu. Rudy kot wyszedł z za ekranu, spojrzał na nas i zaraz cofnął się, jakby poto, żeby donieść o naszym przybyciu. I w tej chwili zjawiła się stara mniszka, która nas powitała i prosiła, byśmy weszli; jej gładko wygolona głowa świeciła za każdym ukłonem jak księżyc. Zdjęliśmy obuwie i poszliśmy śladem mniszki za ekran do małego pokoju, wychodzącego na ogród. W pokoju tym zobaczyliśmy starego kapłana, który siedział na poduszce i pisał przy bardzo niskim stole. Kapłan odłożył swój pendzelek, aby nas powitać; zajęliśmy miejsce również na poduszkach, naprzeciwko niego. Twarz kapłana miała bardzo miły wyraz: wszystkie zmarszczki, wypisane na niej przez niepowodzenia życia, zdawały się mówić o tem, co jest dobre.

Mniszka przyniosła nam herbatę i słodczy ze stemplem Koła Prawa; rudy kot zwinął się w kłębek obok mnie, kapłan zaś zaczął z nami rozmowę. Głos jego był głęboki i łagodny; dźwięczały w nim tony spiżowe, niby szmery, które następują po każdym uderzeniu dzwona w świątyni. Prosił, żeby opowiedział nam coś o sobie. Miał

*) Mały „święty” ptaszek, którego można nauczyć wykrzykiwać parę słów na cześć Buddy.

osiemdziesiąt cztery lata; wzrok i słuch miał jeszcze dobry, lecz z powodu chronicznego reumatyzmu nie był w stanie chodzić. Od dwudziestu lat był zajęty pisanem historii Japonji na tle religji, a praca jego miała być zawarta w trzystu tomach. Napisał już dwieście trzydzieści tomów, resztę miał zamiar dokończyć w roku następnym. Na małej półce, ztyłu za kapłanem, zobaczyłem imponujący szereg ładnie oprawnych rękopisów.

— Jednakże plan, według którego on pracuje — rzekł mój tłumacz, student — jest zupełnie błędny. Jego historia nigdy nie będzie wydana; pełno w niej niemożliwych opowieści, cudów i bajek.

Pomyślałem sobie, że chciałbym bardzo przeczytać te bajki.

— Jak na człowieka w tym wieku, — rzekłem — wyglądacie bardzo dobrze.

— Są oznaki, które mi wróżą, że będę żył jeszcze kilka lat — odpowiedział starzec. — Chociaż ja chciałbym żyć tyle tylko, żeby móc skończyć pisanie swojej historii. Potem niechaj umrę, aby uzyskać nowe ciało, gdyż jestem niedołężny i nie mogę się poruszać. Widocznie popełniłem jakiś błąd w poprzednim istnieniu, skoro dotknęło mnie takie kalectwo. Lecz jestem szczęśliwy, czując, że zbliżam się do Brzegu.

— On ma na myśli morze Śmierci i Narodzin — powiedział mój tłumacz. — Okręt, na którym przejeżdżamy przez nie, nazywa się, jak wiecie, Okrętem Dobrego Prawa, a najdalszy brzeg jest Nehan — Nirwana.

— Czy wszystkie słabości naszego ciała i nieszczęścia — spytałem — są skutkiem błędów, popełnionych w poprzednich istnieniach?

— To, czem jesteśmy, — odrzekł starzec — jest owocem tego, czem byliśmy. My w Japonji mówi-

my o wynikach mango i ingo—dwojakiego rodzaju uczynków.

— Złe i dobre? — spytałem.

— Większe i mniejsze. Niema uczynków doskonałych. Każdy zawiera w sobie i zasługę, i winę, tak, jak nawet i najlepszy obraz ma wady i zalety. Lecz gdy suma dobra w jakimkolwiek uczynku przewyższa sumę zła, tak, jak w dobrem malowidle zalety przewyższają błędy, wówczas wynikiem jest rozwój. I stopniowo przez taki rozwój wszystko złe będzie usunięte.

— Lecz w jaki sposób—spytałem—skutki uczynków mogą mieć wpływ na stan fizyczny? Dziecko kroczy po drodze swych rodziców, dziedziczy ich siłę lub ich słabość, ale nie od nich otrzymuje ono przecież swoją duszę.

— Łańcuch przyczyn i skutków nie da się wytłumaczyć w kilku słowach. Żeby zrozumieć wszystko, musielibyście przestudjować nietylko Dai-dzo czyli Większy Wóz, a też i Szo-dzo czyli Mniejszy Wóz. Wtedy dowiedzielibyście się, że sam świat istnieje tylko z powodu czynów. Jak ktoś, co uczy się pisać, z początku pisze z wielką trudnością, ale następnie, nabrawszy wprawy, pisze bez żadnego wysiłku, tak samo i skłonność do pewnych uczynków, powtarzająca się ciągle, stwarza przyzwyczajenie. I takie skłonności trwają znacznie dłużej, niż życie doczesne.

— Czy człowiek może osiągnąć zdolność pamiętania o swych poprzednich istnieniach?

— To się zdarza bardzo rzadko.—odpowiedział starzec, kiwając przecząco głową.—Żeby mieć taką pamięć, trzeba się najpierw stać Bosatsu.

— Czy jest możliwem stać się Bosatsu?

— Nie w tym wieku. Teraz jest Okres Zepsucia. Przedtem był Okres Prawdziwej Zasady, kiedy ży-

cie było długie; po nim nastąpił Okres Obrazów, podczas którego ludzie oddalili się od najwyższej prawdy, a obecnie świat jest zwyrodniały. Teraz nie można przez dobre uczynki stać się Buddą, ponieważ świat jest zbyt zepsuty, a życie jest zbyt krótkie. Lecz ludzie pobożni mogą osiągnąć Gokuraku (Raj) przez cnotę zasługi i przez ustawiczne powtarzanie Nembutsu; a w Gokuraku mogą ćwiczyć się w prawdziwej zasadzie. Bo tam dni są dłuższe i życie również jest bardzo długie.

— Czytałem w naszym tłumaczeniu Sutrę,—rzekłem na to—że przez dobre czyny ludzie mogą odradzać się stopniowo w coraz to lepszych i szczęśliwszych warunkach, osiągając za każdym razem doskonalsze zdolności i dostępując coraz to wyższych radości. Mówi się tam o bogactwie, sile i piękności, i o pięknych kobietach, i o wszystkim, czego ludzie pożądają na tym świecie. I dlatego zdaje mi się, że droga rozwoju musi stopniowo stawać się tem trudniejszą, im dalej ktoś po niej idzie. Bo jeżeli owe teksty mówią prawdę, to im ktoś bardziej może oderwać się od rzeczy zmysłowych, tem silniejszą staje się pokusa powrotu do nich. W ten sposób nagroda za cnotę zdaje się być sama przez się przeszkodą na tej drodze.

— To nie jest tak—odparł starzec.—Ci, którzy przez samoopanowanie dojdą do takich warunków czasowej szczęśliwości, otrzymają również siłę ducha i pewne poznanie prawdy. Ich umiejętność przewyższania samych siebie wzrasta coraz bardziej za każdym odniesionem zwycięstwem, aż wreszcie dotrą do świata, na który narodzą się, jako duchy, a w którym niższe formy pokusy już nie istnieją.

Rudy kot poruszył się niespokojnie na odgłos gęta, poczem skierował się do wejścia, a za nim

poszła mniszka. Czekają tam kilku ludzi, więc kapłan poprosił nas, żebyśmy poczekał, nim on wysłucha swych parafian i zaspokoi ich potrzeby duchowe. Zrobiliśmy im prędko miejsce, — ludzie ci zaraz weszli; byli to biedni wieśniacy, którzy powitali nas bardzo uprzejmie. Nieszczęśliwa matka prosiła o odmówienie pacierzy za swego małego chłopczyka, który zmarł; młoda żona przyszła prosić o litość Buddy nad jej chorym mężem; ojciec i córka szukali pomocy boskiej dla kogoś, co odjechał bardzo daleko. Kapłan rozmawiał ze wszystkimi łagodnie, matce dał mały obrazek Dżizo, żonie — poświęcony papier ryżowy, a dla ojca i córki zaczął przygotowywać kilka świętych tekstów. Mimowoli pomyślałem o niezliczonych naiwnych modlitwach, które w ten sam sposób ludzie zanoszą codzień w niezliczonych świątyniach; pomyślałem o wszystkich obawach, i nadziejach, i serdecznych troskach naiwnej miłości, o wszystkich cichych smutkach, o których nie słyszy nikt, oprócz bogów. Student zaczął oglądać książki kapłana, ja zaś zacząłem rozmyślać o tem, o czem trudno jest myśleć.

...Życie — życie, jako całość, niestworzone, bez początku — życie, którego mgławce ślady znamy zaledwie, życie, wiecznie zmagające się ze śmiercią i zawsze przez nią pokonywane, a jednak zawsze śmierć przeżywające — czem jest życie — i w jakim celu jest? Niezliczone razy wszechświat rozpraszał się i niezliczone razy rozwijał się znowu, a życie jego za każdym razem ginie poto tylko, aby się znowu ukazać w innym cyklu. Wszechświat zamienia się w mgławicę, aby mgławica znowu mogła stać się wszechświatem... Wiecznie rodzą się roje słońc i światów — i wiecznie umierają... Za każdym razem zaś, gdy świat w strasznym pożarze na nowo powstaje z niebytu, sfery gorejące stopniowo stygną

i dojrzewają do życia, życie zaś dojrzewa i w myśl się przetwarza. Duch każdego z nas musiał już odbyć wędrówkę przez miliony płonących słońc — i musi przeżyć jeszcze okropny zgon niezliczonych przyszlých wszechświatów. Czy pamięć o tem nie może również w jakikolwiek sposób i gdziekolwiek przetrwać? Czy możemy być całkowicie pewni, że w jakiś niewiadomy nam sposób i w niewiadomej postaci pamięć ta rzeczywiście w nas nie trwa? Jako wizja bezgraniczna — wspomnienie przeszłości w przyszłości? Być może, że w tej nocy bez końca, jak w głębinach nirwany, śnią się wieczne sny o tem wszystkim, co już kiedyś było, i o tem, co jeszcze kiedyś być może...

Parafjanie podziękowali, złożyli swoje drobne ofiary Dzizo i wyszli, pożegnawszy nas ukłonem. Zajęliśmy nasze poprzednie miejsca obok małego stolika do pisania, i starzec znowu zaczął mówić:

— Może być, że kapłan najwięcej ze wszystkich ludzi wie o tem, ile smutku jest na świecie. Słyszałem, że w krajach Zachodu również jest wiele cierpienia, chociaż narody zachodnie są tak bogate.

— Tak, — odparłem — zdaje mi się, że w krajach Zachodu jest jeszcze więcej nieszczęścia, niż w Japonji. Bogaci mają tam więcej przyjemności, ale zato ludzie biedni mają więcej zmartwień. Nasze życie jest trudniejsze, i może być, że dlatego naszą myśl bardziej niepokoi tajemnica świata.

Kapłan zdawał się być zainteresowany, lecz nic na to nie odrzekł. Z pomocą tłumacza mówiłem w dalszym ciągu:

— Są trzy wielkie pytania, które wciąż męczą umysły wielu ludzi w krajach Zachodu. Te pytania my nazywamy: „Skąd, Dokąd i Dlaczego“, mając na myśli: „Skąd jest życie? Dokąd ono idzie?

Dlaczego istnieje i cierpi?" Nasza najwyższa nauka Zachodu uważa te pytania za zagadki, nie-
możliwe do rozwiązania, choć przyznaje jedno-
cześnie, że serce człowieka nie zazna spokoju,
dopóki dusza ich nie rozwiąże. Wszystkie religie
próbowały je wytłumaczyć i wszystkie ich tłuma-
czenia są różne. Przeszukiwałem księgi buddyjskie,
chcąc znaleźć odpowiedź na te pytania, i znalazłem
odpowiedzi, które mi się wydały lepsze od wszyst-
kich innych. Jednak i one mnie nie zadowolily,
ponieważ są niezupełnie ściśle. Z waszych ust mam
nadzieję usłyszeć odpowiedź przynajmniej na pierw-
sze i na trzecie pytanie. Nie proszę o żaden do-
wód; chciałbym jedynie poznać samą doktrynę. Czy
początek wszystkich rzeczy był w Rozumie po-
wszechnym?

Na to pytanie, rzeczywiście, nie oczekiwałem
wyraźnej odpowiedzi. A jednak odpowiedź przyszła
—miarowa i dźwięczna jak śpiew.

— Wszystkie rzeczy, które uważamy za osob-
nicze, wyłoniły się do istnienia poprzez niezli-
czone formy rozwoju i odtwarzania się Rozumu
wszechświatowego. Potencjalnie istniały one w tym
Rozumie od wieków. Lecz pomiędzy tem, co my
nazywamy Rozumem, a tem, co nazywamy Ma-
terją,—niema zasadniczej różnicy. To, co nazywamy
Materją, jest tylko sumą naszych własnych wra-
żeń i pojęć; te zaś wrażenia i pojęcia są tylko
zjawiskami Rozumu. O Materji samej w sobie nie
wiemy nic. Nie wiemy nic poza postaciami na-
szego własnego rozumu, a te postaci wprowadza
w jego obręb wpływ zewnętrzny lub siła, której
my dajemy miano Materji. Lecz Materja i Rozum
same w sobie są tylko dwiema postaciami jednej
nieskończonej Istoty.

— Są na Zachodzie nauczyciele, — rzekłem —

k którzy uczą podobnej doktryny, i najgłębsze dociekania naszej współczesnej nauki zdają się stwierdzać, że to, co my nazywamy Materją, nie istnieje w pojęciu absolutnem. Lecz co się tyczy tej nieskończonej Istoty, o której mówicie, to czy jest jaka nauka buddyjska, która mówiłaby o tem, kiedy i w jaki sposób po raz pierwszy stworzyła ona te dwie postaci, które my wciąż rozróżniamy, jako Rozum i Materję?

— Buddyzm — odrzekł stary kapłan — nie uczy tak, jak to czynią inne religie, że rzeczy powstały przez stworzenie. Jedyną Rzeczywistością jest uniwersalny Rozum, który po japońsku nazywa się Szinnjo. — Rzeczywistość sama w sobie — jest nieskończona i wieczna. Nieskończony Rozum zawiera w sobie swą własną Świadomość. I tak, jak ktoś, co w halucynacji bierze zjawy za rzeczywistość, tak samo i Istota powszechna przyjęła za zewnętrzne przejawy istnień to, co zawierała tylko w samej sobie. Tę iluzję nazywamy Mu-mjo*), co oznacza „bez blasku” lub „pozbawiony oświecenia”.

— To słowo było przetłumaczone przez niektórych uczonych Zachodu, jako „Nieświadomość”.

— Słyszałem o tem. Lecz pojęcie, zawarte w słowie, którego my używamy, nie jest pojęciem, równoważnem słowu „Nieświadomość”. Jest to raczej pojęcie błędnego uświadomienia lub ułudy.

— A jaka jest nauka — spytałem — co do czasu tej iluzji?

— Powiadają, że czas ułudy pierwotnej był Mu-szi, „poza początkiem” — w niezmierzonej przeszłości. Z Szinnjo powstały pierwsze różniczkowanie między „Ja” i „Nieja”, z czego znowu wy-

*) Po sanskrycku „Avidya”, t. j. Niewiedza.

nikły wszystkie osobnicze istnienia tak Ducha, jak i Materji, i wszystkie namiętności i pragnienia, które wywierają wpływ na warunki istoty przez niezliczone narodziny. W taki sposób świat jest wynikiem Istoty nieskończonej; nie można jednak twierdzić, że my jesteśmy tworamj tej Istoty. Pierwotne Ja każdego z nas jest to Rozum powszechny; i w każdym z nas jest powszechne Ja łącznie z wynikami ułudy pierwotnej. Ten stan pierwotnego Ja, osnuty w wyniki ułudy, my nazywamy Njorai-zo*) albo „Łono Buddy”. Celem, do którego wszyscy powinniśmy dążyć, jest poprostu nasz powrót do nieskończonego Pierwotnego Ja, które jest istotą Buddy.

— Jeszcze mam jedną wątpliwość—rzekłem—i bardzo chciałbym wiedzieć, co o tem mówi nauka Buddy. Nasza nauka zachodnia dowodzi, że widzialny wszechświat rozwijał się i rozpadał stopniowo niezliczone razy w nieskończonej przeszłości i musi również znikać i znów się pojawiać w ciągu niezliczonych cykli w nieskończonej przyszłości. W naszych tłumaczeniach starożytnej filozofji induskiej i świętych tekstów buddyjskich wykazuje się to samo. Ale czy niema teorii, któraby mówiła, że wkońcu przyjdzie czas, kiedy wszystko zginie ostatecznie i nastąpi spoczynek wieczny?

Kapłan odpowiedział:

— „Szo-dzo” rzeczywiście uczy, że wszechświat zjawiał się i znikał po wiele razy w niedającej się zmierzyć przeszłości i że musi on w dalszym ciągu kolejno rozpraszać się i znów się zwiierać przez niezliczone wieki, które następują. Lecz nasza nauka

*) Jest to najwyższy tytuł Buddy. Znaczy to: „Ktoś, czyje przyjsie jest, jak przyjsie jego poprzedników”.

twierdzi, że wszystkie rzeczy przejdą wkońcu w stan Nehanu (Nirwana).

Przyszła mi do głowy myśl niepoważna, której nie mogłem przezwyciężyć. Wyobraziłem sobie Absolutny Spoczynek jako coś, co się wyraża według wzoru fizyki przez $274^{\circ}\text{ C.}^{*)}$ — poniżej zera lub $461^{\circ}\text{ Fahrenheita}$. Rzekłem jednak:

— Umysł zachodni z trudem może myśleć o zupełnym spoczynku, jako o stanie błogości. Czy buddyjskie pojęcie o Nehanie zawiera w sobie pojęcie absolutnej ciszy i powszechnej nieruchomości?

— Nie, — odrzekł kapłan — Nehan jest stanem Absolutnej Samowystarczalności, stanem wszechwiedzy i wszechpoznania. Nie wyobrażamy sobie, że jest to stan zupełnej beczynności, lecz myślimy, że jest to stan zupełnego wyzwolenia od wszystkich ciężarów. Prawda, że niepodobieństwem jest dla nas wyobrazić sobie bezcielesny stan wiedzy lub poznania, ponieważ wszystkie nasze pojęcia i wrażenia należą do stanu ciała, lecz wierzymy, że Nehan jest stanem nieskończonej mądrości i nieskończonego spokoju ducha.

Rudy kot wskoczył na kolana kapłana i ułożył się na nich wygodnie, w leniwej pozie. Starzec go pogłaskał, a mój towarzysz zauważył z lekkim uśmiechem:

— Spójrzcie, jaki ten kot jest tłusty! Może być, że w poprzednim życiu spełniał jakieś dobre uczynki.

— Czy warunki życia zwierząt — spytałem — też zależą od zasługi i winy w poprzednich istnieniach?

*) Autor popełnił drobną nieścisłość. Temperatura -273° C. jest najniższą, jaką da się przyjąć, zgodnie ze współczesnymi pojęciami fizycznymi. Stąd -273° C. nazywają zerem bezwzględnym.

Kapłan odpowiedział mi poważnie:

— Wszystkie warunki życia istoty zależą od warunków, które były przedtem, a Życie jest jedno. Bardzo jest szczęśliwie urodzić się człowiekiem—mamy wówczas trochę oświecenia i sposobność do zdobycia zasługi. Lecz stan zwierząt jest stanem, zasługującym na naszą litość i miłosierdzie. Żadne zwierzę nie może być uważane za zupełnie szczęśliwe; a jednak i w życiu zwierząt są niezliczone różnice warunków.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, którą przeżywało tylko łagodne mruczenie kota. Spojrzałem na wizerunek Adelaidy Neilson, ledwo widoczny nad ekranem, pomyślałem o Julecie i starałem się odgadnąć, jakby ocenił kapłan tę przedziwną historję szekspirowską o namiętności i rozpacz, gdybym potrafił mu opowiedzieć to po japońsku. I naraz, jakby w odpowiedzi na tę myśl, przypomniałem sobie dwieście piętnasty wiersz Dhammapada: „Z miłości przychodzi smutek; ze smutku—trwoga; ten, kto nie zna miłości, nie zna ani smutku, ani trwogi”.

— Czy buddyzm uczy,—spytałem—że wszelką miłość zmysłową należy stłumić? Czy taka miłość jest przeszkodą do oświecenia? Wiem, że kapłani buddyjscy z wyjątkiem sekty Szin-Szu nie mogą się żenić; lecz nie wiem, co mówi nauka buddyjska o celibacie i małżeństwie wśród ludzi świeckich.

— Małżeństwo może być przeszkodą, ale również i pomocą na drodze do doskonałości—rzekł starzec—zależnie od okoliczności. Jeżeli człowiek z powodu miłości do żony i dziecka staje się zbyt przywiązany do dóbr doczesnych na tym nieszczęśliwym świecie, wówczas taka miłość jest przeszkodą. Lecz, naodwrot, jeżeli miłość do żony i dziecka pozwala człowiekowi żyć życiem czystsze i mniej samolubnem, niżby to czynił w stanie bez-

żennym, to wówczas małżeństwo będzie dlań wielką pomocą na drodze do doskonałości. Dla mędrca małżeństwo przedstawia liczne niebezpieczeństwa; lecz dla tych, którzy mają umysł słaby, większe są niebezpieczeństwa stanu bezżennego. I nawet złuda namiętności prowadzi czasami natury szlachetniejsze do wyższej wiedzy. Istnieje pewne podanie na ten temat. Dai-Mokukenren, którego lud nazywa Mokuren, był uczniem Szaki. Był on bardzo przystojnym mężczyzną, i zakochała się w nim pewna młoda dziewczyna. Ponieważ Mokuren należał już do Zakonu, dziewczyna więc nie miała żadnej nadziei, by mógł on kiedy stać się jej mężem, i skrycie bardzo cierpiała z tego powodu. Lecz wkońcu zebrała się na odwagę i poszła do Buddy, aby mu wyrazić ból swego serca. I zanim skończyła mówić, Budda uspił ją. Śniło się jej, że była szczęśliwą żoną Mokurena. Przeszły całe lata niezamąconego szczęścia, a następnie przyszły takie, w których była i radość, i smutek naprzemian, aż wreszcie śmierć zabrała jej męża. I wówczas kobieta cierpiała tak okropnie, że nie mogła sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób potrafi żyć nadal. Obudziła się z uczuciem bólu i zobaczyła przed sobą uśmiechniętego Buddę, który rzecze do niej: — „Siostrzyczko — widziałeś!... Wybieraj teraz, co wolisz: czy być żoną Mokurena, czy też szukać wyższej drogi, na którą on już wstąpił.” — Więc dziewczyna obcięła sobie włosy i stała się mniszką, a po jakimś czasie doszła do stanu istoty, która już się powtórnie nigdy nie narodzi.

Chwilowo miałem wrażenie, że ta opowieść nie tłumaczy, w jaki sposób złudzenia miłości mogą prowadzić do zwycięstwa nad samym sobą; zdawało mi się, że nawrócenie dziewczyny było tylko

prostym wynikiem tej bolesnej wiedzy, która została jej narzucona — ale nie skutkiem jej miłości. Jednak znienacka uprzytomniłem sobie, że widzenie, które zesłano na nią, nie sprowadziłoby wzniosłych stanów i postanowień w duszy niedostojnej albo samolubnej. Myślałem dalej o niedających się wysłowić następstwach, jakie w życiu doczesnem mogłoby pociągnąć za sobą posiadanie dokładnej wiedzy o przyszłości; czułem, że dla większości z nas jest to właśnie błogosławieństwem, iż przyszłość ukryta jest za zasłoną. Dalej marzyłem o tem, że siłę uchylania tej zasłony będzie można osiągnąć, skoro tylko podobna zdolność miałaby przynosić ludziom realne dobrodziejstwo, ale nie wcześniej. Spytałem przeto:

— Czy można przez oświecenie pozyskać zdolność przewidywania przyszłości?

Kapłan zaś odrzekł:

— Owszem. Gdy osiągniemy stan oświecenia, w którym będziemy posiadali Roku-Dżindzu czyli sześć tajemniczych zdolności, wówczas będziemy widzieli przyszłość tak samo dobrze, jak przeszłość. Zdolność taka przychodzi jednocześnie ze zdolnością pamiętania poprzednich narodzin. Lecz osiągnąć taki stopień wiedzy w obecnym okresie jest bardzo trudno.

Mój towarzysz zrobił mi ukradkiem znak, że już czas się pożegnać. Zasiedzieliśmy się zbyt długo nawet z punktu widzenia etykiety japońskiej, która jest bardzo względna na tego rodzaju uchybienia. Podziękowałem gospodarzowi świątyni za jego uprzejme odpowiedzi na moje fantastyczne pytania i wkońcu dodałem:

— Chciałbym was jeszcze spytać o tysiąc rozmaitych rzeczy, lecz dziś i tak zająłem już wam

zbyt dużo czasu. Czy mógłbym przyjść jeszcze raz?

— Będę bardzo szczęśliwy — odparł kapłan. — Przyjdźcie, proszę, kiedy tylko zapagniecie. Mam nadzieję, że spytacie wówczas o wszystko to, co jest jeszcze dla was niezupełnie jasne. Przez poważne dociekania człowiek poznaje prawdę i wyzwala się od złudzeń. Proszę, przychodźcie często, żebym mógł mówić z wami o Szo-Dzo. I raczcie przyjąć ode mnie tę rzecz.

Przy tych słowach kapłan podał mi dwa małe pakieciki. Jeden z nich zawierał biały piasek—piasek z świątyni Zenkodzi, do której odbywają pielgrzymkę po śmierci wszystkie dobre dusze. W drugim był małej białej kamień Szari czyli relikwia ciała Buddy.

Miałem nadzieję, że będę mógł odwiedzić tego dobrego starca jeszcze nieraz. Lecz wskutek kontraktu, zawartego ze szkołą, musiałem wyjechać z miasta i udać się daleko, za góry. Nigdy już więcej nie widziałem tego kapłana.

II

Minęło pięć lat. Spędziłem je wszystkie zdala od portów handlowych, zanim znowu zobaczyłem Dżizo-Do. W ciągu tego czasu zaszło wiele zmian we mnie i naokoło mnie. Piękne złudzenie o Japonji,—ten czar, który ogarnia człowieka w pierwszych dniach po zetknięciu się z magiczną atmosferą tego kraju,—trwały we mnie długo, lecz wkońcu mocno przyblakły. Żal mi było bardzo moich dawnych wrażeń.

Lecz pewnego dnia doznałem ich znowu, choć tylko na krótką chwilę. Byłem w Jokohamie i raz

jeszcze w kwietniowy poranek patrzyłem z Bluffu*) na boskie widmo Fudzi. A gdy patrzyłem na ten niezmierny wiosenny blask błękitnego światła, nawiedziły mnie te uczucia, jakie przeżywałem w pierwszych dniach swego pobytu w Japonji. Uczucie mego pierwszego pełnego zachwytu podziwu dla tego nieznanego, bajkowego świata, pełnego pięknych zagadek,—dla tej krainy Elfów, która ma swoje własne słońce i swoiście zabarwione powietrze. Znowu wydało mi się, że jestem pogrążony we śnie, znowu wszystkie przedmioty widzialne zdawały się czemś niematerialnem. Znowu niebo wschodu, na którym widać było tylko delikatne, białe duchy chmur, wydało mi się prawdziwem niebem Buddy; a barwy tego poranku zdawały się zgęszczać w te tradycyjne kolory, jakie były w godzinę Jego narodzin, kiedy to dawno umarłe drzewa naraz zakwitły, a wiatry były pełne aromatu i serca wszystkich żyjących stworzeń przeppełniało uczucie miłości. Powietrze zdawało się być przepełnione taką słodyczą, jakgdyby Nauczyciel miał zaraz przyjść znowu; twarze wszystkich przechodniów zdawały się uśmiechać, jakby w przeczuciu tego niebieskiego zdarzenia.

Następnie czar prysł, i wszystko naokoło stało się ziemskie, ja zaś wspominałem wszystkie złudzenia, jakie żywiłem kiedykolwiek: złudzenie o świecie, jako o życiu, i o wszechświecie samym, jako o złudzeniu tylko. A wtedy przypomniałem sobie słowo Mu-mjo i postanowiłem odszukać starożytnego myśliciela w Dzizo-Do.

Dzielnica była bardzo zmieniona: stare domy

*) Bluff—pagórek, na którym jest położona najlepsza europejska część miasta. Przeważnie wille bogatych Anglików i Amerykanów.

znikły, a nowe dziwnie tuliły się jeden do drugiego. Odnalazłem jednak podwórze i zobaczyłem małą świątynię taką, jak ją pamiętałem. Przed wejściem stało kilka kobiet, a młody kapłan, którego nigdy przedtem nie widziałem, bawił się z dzieckiem. Drobne brązowe rączki dziecka gładziły kapłana po wygolonej twarzy. Twarz ta, o bardzo podługnych oczach, miała wyraz dobry i rozumny.

— Pięć lat temu—odezwałem się łamanym językiem japońskim—odwiedzałem tę świątynię. Wówczas był tutaj bardzo stary bonsan.

Młody bonsan oddał dziecko w ręce kobiety, która widocznie była jego matką, i odrzekł:

— Owszem. Ten stary kapłan umarł już, i teraz ja jestem na jego miejscu. Proszę, raczcie wejść łaskawie.

Wszedłem. Mała świątynia nie była już interesująca; znikła cała jej naiwna piękność. Dżizo wciąż uśmiechał się nad swym śliniaczkiem, lecz pozostałe bóstwa znikły tak samo, jak znikło wiele dawnych ofiar, nawet portret Adelaidy Neilson. Kapłan starał się przyjać mnie uprzejmie w tym samym pokoju, w którym dawniej pisał staruszek, i postawił przede mną pudełko do palenia. Poszukałem wzrokiem książek w rogu pokoju—książki też znikły. Wszystko zdawało się być zupełnie inne.

Spytałem:

— Kiedy stary bonsan umarł?

— Ubiegłej zimy — odrzekł kapłan — w okresie Największego Zimna. Ponieważ nie mógł poruszać nogami, więc niezmiernie cierpiał z przyczyny chłodu. To jest jego ihai.

Kapłan podszedł do alkowy, w której znajdowały się dwie półki, zastawione niedającymi się opisać przedmiotami, — były to zapewne stare

szczętki świętych rzeczy — i otworzył drzwiczki bardzo małego butsudanu, który stał pomiędzy dwoma flakonami, pełnemi kwiatów. Wewnątrz zobaczyłem tabliczkę pośmiertną — świeży, czarny lakier i złoto. Kapłan zapalił przed nią lampkę, włożył kawałek kadzidła i rzekł:

— Wybaczcie mi, proszę, ale muszę oddalić się na chwilę; paraftanie czekają na innie.

Zostałem więc sam. Patrzyłem na ihai, na spokojny płomień malutkiej lampki, na błękitne, powolne smugi dymu z kadzidła — i pytałem siebie, czy też duch starego kapłana był tutaj? Po chwili wydało mi się, jakby duch ten był tu rzeczywiście, więc zacząłem przemawiać do niego bez słów. Następnie zauważyłem, że na flakonach do kwiatów, stojących po obu stronach butsudanu, wciąż były jeszcze nadpisy: „Toussaint Cosnard Bordeaux”, a na pudełku do kadzidła pozostała znana reklama o dobrze pachnących papierosach. Obejrzawszy się po pokoju, zobaczyłem rudego kota, śpiącego smacznie w oświetlonym przez słońce kącie. Podszedłem do niego i pogładziłem go; lecz kot nie poznał mnie i tylko zlekka otworzył swoje senne oczy. Był jeszcze bardziej błyszczący, niż dawniej, i zdawał się być szczęśliwy. Koło wejścia słychać było żałące się szepty, głos kapłana powtarzał nawpółzrozumiałe odpowiedzi na jego pytania.

— Kobieta dziewiętnastoletnia — tak? I mężczyzna dwudziestosiedmioletni — czy tak?

Wstałem i skierowałem się ku wyjściu.

— Przepraszam — rzekł kapłan, odrywając się od pisania, podczas gdy biedne kobiety witały mnie — jeszcze tylko chwileczkę.

— Nie — odparłem. — Nie chciałbym wam przeszkadzać. Przyszedłem tylko poto, żeby zobaczyć starego kapłana i zobaczyłem jego ihai. Ta mała

ofiara była dla niego. Proszę, przyjmijcie ją dla siebie.

— Czy nie zechcecie zaczekać chwilkę, żebym mógł zapisać wasze imię?

— Może być, że przyjdę jeszcze raz — odparłem wymijająco. — Czy stara mniszka także umarła?

— Nie umarła. Mniszka zawsze jeszcze opiekuje się świątynią. W tej chwili jej niema, lecz zaraz powinna wrócić. Może zaczekacie? Czy życzycie sobie czego?

— Tylko modlitwy — odparłem. — Imię moje nie ma znaczenia. Mężczyzna czterdziestoczteroletni. Pomódlcie się, proszę, żeby mógł osiągnąć to, co dla niego jest najlepsze.

Kapłan zapisał kilka słów. Oczywiście, że to, o co prosiłem, żeby się kapłan modlił, nie było największem pragnieniem mego serca. Ale wiedziałem, że Budda nigdy nie wysłuchałby niedorzecznej modlitwy o powrót straconych złudzeń.

PRZYGODA ITO NORISUKÉ

Mniej więcej sześćset lat temu w mieście Udzi, w prowincji Jamasziro, mieszkał młody samuraj Ito Tetéwaki Norisuké, którego przodkowie pochodzili z klanu Heiké. Ito był przystojny, wykształcony, miał miły charakter i był dzielnym rycerzem. Lecz rodzina jego była uboga, a przytem Ito nie miał żadnego protektora w wyższych sferach wojskowych. Z tych powodów widoki jego na przyszłość były nieszczególne. Ito pędził życie spokojne, cały oddany studjom nad literaturą i mając podług orzeczenia japońskiego „tylko księżyc i wiatr za przyjaciół”. Pewnego wieczora jesiennego Ito, przechadzając się samotnie w pobliżu wzgórza, zwanego Kotobikijama, spotkał młodą dziewczynę. Dziewczyna była bogato ubrana i zdawała się mieć nie więcej lat, niż jedenaście lub dwanaście. Ito ją pozdrowił i rzecze:

— Słońce już wkrótce zajdzie, panienko, a miejscowość ta jest bardzo odludna. Niech mi wolno będzie zapytać, czy panienka zbłądziła?

Zapytana spojrzała bystrym wzrokiem na Ito i odrzekła uprzejmie:

— O nie. Jestem „mija-dzukai”*) i służę niedaleko stąd; zostało mi już bardzo niewiele drogi do domu.

*) Mija-dzukai—służąca, dwórka.

Itó wywnioskował, że dziewczynka służy u jakichś bardzo zamożnych ludzi. Zdziwiło go to bardzo, ponieważ nigdy nie słyszał, aby jakakolwiek pańska rodzina mieszkała w tej okolicy. Odezwał się jednak:

— Ja wracam do Udzi, do swego domu. Może panienska pozwoli mi towarzyszyć sobie, bo miejscowość ta jest naprawdę bardzo odludna.

Dziewczynka podziękowała wdzięcznie i zdawała się być zadowolona z propozycji. Poszli więc razem, idąc zaś—rozmawiali. Dziewczynka opowiadała mu o pogodzie, kwiatach, motylach i ptakach, o tem, że była kiedyś w Udzi, o pięknych rzeczach, jakie widziała w stolicy, gdzie się urodziła. Itó słuchał jej miłego szczebiotu, i czas mijał im szybko. Doszli tak do zakrętu drogi i weszli do małej wioski, stojącej w ciemnym mroku młodego gaju.

Tu muszę przerwać swe opowiadanie, by powiedzieć wam, że jeżeliście nigdy nie widzieli, to nie możecie sobie wyobrazić, do jakiego stopnia bywają ciemne wioski japońskie, choćby w dni najbardziej jasne i upalne. Nawet w okolicy Tokio jest wiele takich wiosek. Podeszedłszy blisko do osady, nie widzicie zupełnie domów, nie widzicie nic, prócz gaju ciemnozielonych drzew. W gaju takim rosną zwykle cedry i bambusy; osłaniają one wioskę od wiatru i dostarczają materiału budulcowego. Drzewa rosną tak blisko koło siebie, że z trudem prześlizgnąć się można pomiędzy pniami; stoją prosto jak maszty, a korony ich łączą się ze sobą u góry i tworzą zielony dach, przez który nigdy nie przenikają promienie słońca. Każda chata, kryta słomą, stoi na małej polance, otoczona naokoło parkanem żywych drzew, dwa razy wyższych od budynków. Pod drzewami zawsze panuje mrok, nawet w samo

południe, a domki i rano, i wieczorem toną w półcieniu. Dziwne jednak wrażenie sprawia nietyle ten mrok tajemniczy, ile absolutna cisza. W wiosce jest czasem pięćdziesiąt lub nawet sto domów, pomimo to nie widać ani żywej duszy i nie słychać żadnych odgłosów z wyjątkiem świego tu ptaków, od czasu do czasu piania kogutów i ostrych tonów śpiewu cykady. Zresztą nawet cykada uważa te gaje za zbyt ponurą i przebywa w nich niechętnie; cykada lubi słońce i dlatego woli drzewa poza wioską. Przyczyną tej ciszy jest to, że w domach niema ludzi. Wszyscy dorośli z wyjątkiem niedołężnych starców udali się na pola sąsiednie; poszły tam i kobiety, niosąc na plecach niemowlęta; większość dzieci wyruszyła do szkoły, która czasami znajduje się niemniej, niż o milę od wioski.

W wiosce, do której wszedł Ito, było bardzo ciemno. Słońce już zaszło, a zorza wieczorna nie przenikała przez cień drzew.

— Dobry panie, — odezwała się dziewczynka, wskazując na wąski zaułek, widniejący koło głównej drogi — muszę iść tędy.

— Pozwólcie mi w takim razie odprowadzić się do domu — odparł Ito, skręcając w ciemny zaułek i idąc prawie poomacku.

Wkrótce dziewczynka zatrzymała się przed ledwie widoczną bramą; przez sztachety widać było światła w domu.

— Tu jest — rzekła — dwór, w którym służę. Ponieważ pan skręcił tak daleko ze swej drogi, może raczysz wejść do naszego domu i odpocząć?

Ito przystał. Podobało mu się proste zaproszenie, oprócz tego zaś chciał się dowiedzieć, kim byli ci możni ludzie, którzy zamieszkali w tak odludnej wiosce. Ito wiedział, że czasami osoby, należące do wyższego świata, usuwały się od życia publicznego

z przyczyny niepowodzeń politycznych lub niełaski rządu, i myślał, że zapewne coś podobnego musiało spotkać mieszkańców tego domu. Przeszedłszy przez bramę, którą otworzyła jego mała przewodniczka, Ito znalazł się w dużym i dziwnym ogrodzie. W ciemności majaczył niewyraźnie wijący się przez ogród strumień.

— Raczcie zaczekać chwilę — rzekło dziecko. — Pójdę oznajmić o waszem łaskawem przybyciu.

Powiedziawszy to, dziewczynka pośpieszyła w kierunku domu. Dom był duży, lecz sprawiał wrażenie bardzo starego i zbudowanego w taki sposób, w jaki budowano domy w dawnych czasach. Rozsuwające się drzwi były otwarte, lecz oświetlone wnętrze zasłaniał parawan bambusowy, ciągnący się wzdłuż galerji frontowej. Za parawanem widać było poruszające się cienie. Po chwili w ciszy nocnej dały się słyszeć dźwięki koto^{*)}). Dźwięki te były tak lekkie i słodkie, że Ito sądził, jakoby to było poprostu złudzenie słuchowe. Jednocześnie poczuł, że ogarnia go cichy, senny zachwyt, — zachwyt, dziwnie pomieszany z uczuciem smutku. Dziwił się w duchu, w jaki sposób jakakolwiek kobieta mogła nauczyć się tak pięknie grać; zadawał sobie pytanie, czy grała to naprawdę kobieta; nie był pewien nawet, czy to, co słyszał, było muzyką ziemską, bo dźwięki te oczarowały jego istotę.

Słodka muzyka umilkła i prawie w tej samej chwili Ito zauważył, że stoi przy nim mała mija-dzukai.

— Panie, — rzekła — proszę was, żebyście byli łaskawi wejść.

^{*)} Koto — starożytny instrument muzyczny, rodzaj harfy, na której mogą grać tylko szlachetne damy japońskie lub kurtyzany pierwszej klasy.

I poprowadziła Ito ku wejściu, przy którym zdjął on swoje sandały. Na progu powitała go jakaś starsza kobieta, która sprawiła na Ito wrażenie rodzący ochmistrzyni. Kobieta ta poprowadziła go przez szereg pokoi do dużej, rześciste oświetlonej komnaty, która leżała w tylnej części domu, i ukloniwszy się kilka razy z szacunkiem, poprosiła go, by raczył zająć miejsce, przeznaczone dla najdostojniejszych gości. Ito był zdziwiony wspaniałością komnaty i dziwną pięknnością znajdujących się w niej ozdób. Po chwili dziewczęta służebne wniosły posiłek. Ito zauważył, że filiżanki i inne naczynia, jakie przed nim postawiono, były nader drogocenne i upiękשone rysunkami, świadczącymi, że właściciel ich był osobą, należącą do bardzo wysokiej kasty. Coraz bardziej więc dziwił się, kim mogli być ci ludzie, którzy zamieszkali w tem odludnem ustroniu, i jakie były przyczyny, co skłoniły ich do szukania samotności. Rozmyślania jego przerwała starsza kobieta, pytając:

— Czy nie mylę się, przypuszczając, że jesteście Ito Sama z Udzi — Ito Tatewaki Norisuké?

Ito skinął głową na znak potwierdzenia. Małej mija-dzukai nie powiedział był swego imienia i dlatego pytanie to go zdziwiło.

— Proszę, nie weźcie mi za złe mego pytania — ciągnęła ochmistrzyni. — Taka stara kobieta, jak ja, może rozpytywać bez posądzenia o próżną ciekawość. Gdyście weszli do tego domu, wydało mi się, że wasza twarz jest mi znajoma, i spytałam was o imię jedynie dlatego, żeby się upewnić co do waszej osoby, zanim zacznę mówić o innych sprawach. Chcę wam powiedzieć coś, co jest bardzo ważne w danej chwili. Często przechodziliście przez

wioskę i nasza młoda Himégimi—Sama*) pewnego poranku zobaczyła was—i od tej chwili myśli o was we dnie i w nocy. Myślała o was tak dużo, że wkońcu rozchorowała się, i wszyscy jesteśmy o nią bardzo niespokojni. Z tego powodu postarałam się dowiedzieć, gdzie mieszkacie i jakie jest wasze imię, i właśnie już miałam posłać do was list, gdy naraz, zupełnie nieoczekiwanie, przyszlście pod naszą bramę w towarzystwie naszej młodej służącej. Nie jestem w stanie wypowiedzieć, jak czuję się szczęśliwa, że widzę was. Wypadek ten wydaje mi się do tego stopnia pomyślny, że trudno mi uwierzyć w jego rzeczywistość. Myślę naprawdę, że to spotkanie wynikło dzięki łasce Enmusubi-no-kami, wielkiego Boga z Izumo, który współdziała fortunnym związkom. Więc, ponieważ szczęśliwe przecucie sprowadziło was tutaj, może nie odmówicie—jeżeli nie widzicie żadnych przeszkód do tego związku—uszczęśliwić serce naszej Himégimi-Sama.

W pierwszej chwili Ito nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Jeżeli ta kobieta mówiła prawdę, to rzeczywiście, zdarzała mu się niezwykła okazja. Tylko wielka miłość mogła skłonić córkę możnej rodziny do starania się o wzajemność nieznanego samuraja, który nie miał pana, był niebogaty i któremu brak wszelkich widoków na przyszłość. Z drugiej jednak strony szlachetny mężczyzna nie mógł ze względu na swój własny interes korzystać ze słabości kobiecej. Wdodatku wszystko to było jakoś dziwnie zagadkowe. Ito czuł się jednak zakłopotany, bo nie wiedział, w jaki sposób mógłby odpowiedzieć odmownie na tę zgola nieoczekiwaną propozycję. Po krótkiej chwili milczenia odrzekł:

*) Trudny do przetłumaczenia tytuł, składający się ze słów: „hime”—księżniczka i „kimi”—władca, władczyni, pan lub pani i t. d. (Przyp. autora).

— Przeszkód właściwie niema żadnych, ponieważ jestem niezona, nie mam narzeczonej i w ogóle nie mam zobowiązań wobec żadnej kobiety. Dotychczas mieszkalem z rodzicami, którzy nigdy tymczasem nie poruszali sprawy mego małżeństwa. Wiedźcie jednak, że jestem biednym sumarajem, nie mającym żadnego protektora pomiędzy ludźmi z wyższej klasy; dlatego też nie miałem zamiaru żenić się do czasu, zanim widoki moje na przyszłość nie ulegną zmianie na lepsze. Co do propozycji, jaką pani raczyła mi łaskawie zrobić, mogę powiedzieć jedynie, że czuję się niegodnym uwagi jakiegokolwiek szlachetnie urodzonej panny.

Staruszka uśmiechnęła się, jakby zadowolona z tej odpowiedzi, i rzekła:

— Zanim nie zobaczycie naszej Himégimi-Sama, wstrzymajcie się z decyzją. Może być, że ujrawszy ją, nie będziecie się wahać. Tymczasem racie pójść za mną, żebym mogła was przedstawić.

Powiedziawszy to, poprowadziła Ito do innego, jeszcze większego pokoju, w którym czyniono przygotowania do uczyty, i wskazawszy mu miejsce honorowe, które miał zająć, opuściła go na chwilę. Wkrótce wróciła w towarzystwie Himégimi-Sama, a gdy Ito spojrzał na młodą panią domu, ogarnęło go znowu to samo uczucie zachwytu i zdumienia, jakiego doświadczył, gdy stał w ogrodzie i słuchał gry na koto. Nigdy, nawet w marzeniach, nie wyobrażał sobie tak pięknej istoty! Zdawało mu się, że jakieś światło promieniuje z jej postaci przez suknie tak, jak światło księżyca świeci przez puszyste obłoki; jej rozpuszczone włosy powiewały za każdym ruchem, jak gałązki płaczącej wierzby, poruszane przez lekki podmuch wiosennego wiatru; usta jej były, jak kwiat brzoskwini, na którym drżą krople rosy porannej. Ito był oczarowany tem zja-

wiskiem. Zadawał sobie pytanie, czy nie stoi przed nim we własnej swej osobie Amano-Kawarano-Ori-Himé—Dziewica-przodka, mieszkająca nad świecącą Rzeką Nieba.

Ochmistrzyni zwróciła się z uśmiechem do pięknej dziewczicy i rzekła:

— Spójrz, dziecko! W chwili, gdyśmy nie mieli na to najmniejszej nadziei, człowiek, którego pragnęłaś spotkać, przyszedł dobrowolnie. Taki szczęśliwy wypadek mógł się zdarzyć jedynie z woli bogów najwyższych. Gdy myślę o tem, chce mi się płakać z radości.—Przy tych słowach kobieta rzeczywiście rozplakała się głośno. Po chwili wytarła łzy rękawem i ciągnęła dalej.—Teraz nie pozostaje wam nic innego—chyba, że któreś z was nie życzy sobie tego, o czem, zresztą, wątpię,—jak tylko złożyć sobie wzajemnie przysięgę wierności i zasiąść do uczty weselnej.

Itō nie odpowiedział ani słowa: widok pięknej zjawy sparaliżował jego wolę i skrępował język. Weszły dziewczęta służebne, niosąc potrawy i wino: przed młodą parą zastawiono ucztę weselną. Złożyli oni sobie przysięgę wierności. Itō czuł się, jak w transie; niezwykła ta przygoda i piękność panny młodej oszołomiły go zupełnie. Uczucie niedającego się wypowiedzieć szczęścia przepełniło jego serce. Stopniowo jednak odzyskał spokój ducha i był w stanie podtrzymywać rozmowę. Itō wypił dosyć dużo wina i wkońcu w wesołym tonie opowiedział o swych niedawnych wątpliwościach i obawach. Panna młoda była cicha, jak światło księżycy,—ani razu nie podniosła oczu, i gdy Itō zwracał się do niej, odpowiadała mu tylko nagłym rumieńcem lub uśmiechem.

Itō zwrócił się do starej służącej i rzekł:

— Wiele razy podczas mych samotnych prze-

chadzek przechodziłem przez wioskę, nie wiedząc nic o istnieniu tego dworu. Od chwili, kiedy wszedłem do waszego domu, wciąż się dziwię, czemu dostojna rodzina wybrała takie odludne miejsce zamieszkania... Ponieważ teraz wasza Himégimi-Sama i ja złożyliśmy sobie przysięgę wierności, wydaje mi się dziwne, że dotychczas nie znam imienia jej szlachetnej rodziny.

Na te słowa cień przemknął po łagodnej twarzy starej kobiety, a panna, która nie mówiła dotychczas nic, zbladła naraz i sprawiała wrażenie bardzo zaniepokojonej. Po chwili milczenia stara służąca odpowiedziała:

— Zachować dłużej tajemnicę przed wami byłoby trudno; zresztą, zdaje mi się, że powinniście wiedzieć prawdę, skoro należycie do naszej rodziny. Wiedźcie zatem, panie Ito, że małżonka wasza jest córką Szigéhira-Kjo, wielkiego i nieszczęśliwego San-mi-Czüjo.

Usłyszawszy słowa „Szigéhira-Kjo, San-mi-Czüjo”, — młody samuraj poczuł, że lodowaty chłód mrozi mu krew w żyłach. Szigéhira-Kjo, wielki generał i mąż stanu klanu Heiké, zmarł był setki lat temu. Więc Ito naraz zrozumiał, że wszystko naokoło niego — i komnata, i światła, i uczta — były tylko snem przeszłości, że postaci, które widział przed sobą, nie były żywymi ludźmi, jeno cieniami zmarłych.

Ale po chwili uczucie zimnego dreszczu minęło; czar z nową siłą go opanował. Ito przestał się lękać. Chociaż żoną jego przysłała doń z Jomi, — z miejsca Żółtych Źródeł Śmierci, — serce Ito było oddane jej zupełnie. Kto zawiera związek z duchem, musi sam stać się duchem. Ito jednak był gotów umrzeć, — zgodziłby się umrzeć niejeden raz nawet, ale wiele razy, byleby tylko nie wywołać

wyrazu smutku na czole tej pięknej istoty. Nie wątpił o uczuciu, które mu ofiarowano; powiedział mu przecież prawdę; gdyby ludzie ci mieli na widoku jakiś inny cel, mogliby go łatwo oszukać. Myśli te przemknęły jak błyskawice przez jego głowę, i zaraz potem Ito postanowił pogodzić się z położeniem, w jakim się znalazł, i zachować się tak, jakby się był zachowywał w czasach Dżü-ei, gdyby go była wybrała na męża córka Szigéhira.

— Jakież to straszne! — zawołał. — Słyszałem o okropnym losie, który spotkał dostojnego pana Szigéhira.

— Ach, tak! — odrzekła starsza kobieta, łkając. — Był to naprawdę okrutny los. Koń jego, jak wiecie, był ugodzony strzałą i padł pod nim; gdy zaś Szigéhira zawołał o pomoc, ci ludzie, którzy przedtem żyli wyłącznie dzięki jego szczodrości, opuścili go w potrzebie. Wzięto go do niewoli i odesłano go do Kamakura, gdzie obchodzono się z nim w sposób haniebnym i wkońcu go stracono.*) Żona jego i dziecko — obecna tu dziewczyna — ukrywały się wówczas, ponieważ wszystkich, którzy należeli do klanu Heiké szukano wszędzie i zabi-

*) Szigéhira po zaciętej walce, stoczonej w obronie stolicy (stolica była w ręku partji Taira-czali-Heiké) został zaskoczony i rozbity przez Joszitsuné, dowódcę wojsk Minamoto. Żołnierz, imieniem Ijénaga, który był bardzo dobrym łucznikiem, zabił konia Szigéhira. Szigéhira zawołał na giermka, by ten podał mu innego wierzchowca, lecz giermek uciekł. Szigéhira został wzięty do niewoli przez Ijénaga i oddany w ręce przywódcy klanu Minamoto-Joritomo, który go odesłał do Kamakura. W Kamakura Szigéhira najpierw przeżył szereg upokorzeń, potem jednak okazywano mu pewne względy, gdyż napisał on śliczny poemat chiński, który wzruszył nawet okrutne serce Joritomo. Lecz w następnym roku stracono go na skutek żądania kapłana buddyjskiego z Nanto, z którym Szigéhira przedtem walczył.

jano. Gdy wieść o śmierci pana Szigéhira doszła nas, matka nie była w stanie przeżyć tego bólu; dziecko zostało sierotą i nie miało nikogo na świecie, oprócz mnie, bo wszyscy krewni zginęli albo uciekli. Dziewczynka miała wtedy zaledwie pięć lat. Ja byłam jej dawną mamką i starałam się opiekować nią, jak mogłam najlepiej. Przez wiele lat wędrowaliśmy z jednego miejsca na drugie w przebraniu pielgrzymów... Ale nie czas teraz na te smutne opowiadania — zawołała opiekunka, ocierając łzy, — raczcie wybaczyć, że głupie serce starej kobiety nie może zapomnieć o tem, co było. Spójrzcie! Mała dziewczynka, którą opiekowałam się niegdyś, jest teraz prawdziwą Himégimi-Sama. Gdybyśmy żyli w dobrych czasach cesarza Takakura, los jej byłby godzien zazdrości. Lecz i teraz dostała męża, którego mieć chciała, a to jest szczęście największe... Jednak, późno już... Sypialnia małżeńska przygotowana... zostawiam więc was samych aż do jutrzejszego ranka...

Stara kobieta wstała i, rozsunięwszy zasłonę, oddzielając pokój gościnny od sąsiedniej komnaty, wprowadziła młodą parę do sypialni. Wyraziła jeszcze raz swą radość i odeszła. I Ito pozostał sam na sam z małżonką.

Gdy ułożyli się już do snu razem, spytał swą żonę:

— Powiedz mi, ukochana, kiedy po raz pierwszy przyszła ci chęć, żebym był twoim mężem?

(Wszystko zdawało się być tak rzeczywiste, że Ito zapomniał o złudzeniu, któremu uległ.)

Żona odpowiedziała głosem, przypominającym głos gołębia:

— Mój panie i mężu! Pierwszy raz ujrzałam was w świątyni Iszijama, do której udałam się razem z moją opiekunką. I od tej chwili kiedy zobaczy-

